Nr. 256. Lwów — Czwartek dnia 9 Listopada. Rok 1893

Wychodzi w dni powszednie o godz. 4. po południu.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . 4 ct.
na prowincyi. . . . . 5 „
Numera z poprzednich miesięcy po 10 ct.

„Przegląd“ jest do nabycia we Lwowie w obu Biurach sprzedaży dzienników i we wszystkich większych trafikach.

PRZEGLĄD
POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Cena prenum. na prowincyi.
Miesięczna złr. 1·10 | Półroczna złr. 6
Kwartalna „ 3·— | Roczna „ 12
Za zmianę adresu opłaca się 20 ct.
Prenumeratę należy przesyłać przekazami. Do przesyłanej w kopertach pieniężnych należy dodawać 5 ct.

CENY OGŁOSZEŃ
Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy:
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . 10 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo drukiem petitowym po . . . 2 „
zaś tłustym garmondem po . . . 4 „
Korrespondencye prywatne za każde słowo drukiem petitowym po . . . 4 „
Nadesłane na trzeciej stronicy:
O głoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . . 20 „
Nekrologia . . . . 20 „
Ogłoszenia do „Przeglądu“ przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś: św. Teodora M. — Terentya
Jutro: św. Andrzeja — Anastazyi M.

Adres Redakcyi i Administracyi: Ulica Sykstuska l. 45

Naczelny Redaktor i Wydawca: Ludwik Masłowski.

Wschód słońca g. 7 m. 6
Zachód „ „ 4 „ 22

Długość dnia g. 9 m. 16
Ubyło dnia od wczoraj 3 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 8 listopada.

Z Wiednia nam piszą: Co do programu prac parlamentu porozumiały się ze sobą zupełnie trzy kluby, więc pod tym względem nie ma już żadnych trudności. Za to wybuchły co do osób. Lewica chce, aby br. Widmann był ministrem spraw wewnętrznych, na to zaś przystać nie może klub Hohenwarta; to jeden szkopuł; drugi ten: Koło Polskie pragnie, ze względu na równowagę sił w gabinecie, mieć trzech ministrów, dwóch z tekami, a jednego bez teki, jako ministra dla Galicyi. Temu sprzeciwia się lewica, bo powiada, że zostanie zupełnie zmajoryzowana, gdyż klub Hohenwarta a Koło Polskie to jedno, ministrowie Hohenwartowscy i ministrowie polscy będą szli ciągle ręka w rękę, bo są i tak samo katolikami, i tak samo konserwatystami, i tak samo autonomistami; więc właściwie — twierdzi lewica — to nie będzie gabinet koalicyjny, a więc wypływający z kompromisu zasad autonomicznych i konserwatywnych z zasadami liberalnemi i centralistycznemi, ale gabinet konserwatywny, w którym wynajęto jeden kąt liberałom. W takim gabinecie każda zachcianka liberalna zostanie z góry na zagładę skazana. Owóż ażeby siły zrównoważyć — powiada ciągle lewica — należy przynajmniej oddać liberałom najważniejsze teki: finansów i spraw wewnętrznych, i na te posady obrać takich biegłych mężów jak Plener i Widmann.

Tekę oświaty zdecydowano podobno oddać stanowczo Polakom, jako stojącym po środku między skrajnemi dążeniami klerykałów, a liberalną bezwyznaniowością. Dotąd nie jest jeszcze zdecydowanem czy obejmie ją Madeyski czy Bobrzyński. Ale wybór między tymi dwoma mężami zależy już wyłącznie od Koła Polskiego. Bobrzyński jako fachowiec byłby bardziej wskazany, ale za to Madeyski przerasta go, jako wytrawny gracz polityczny, a w koalicyjnym gabinecie potrzeba nam właśnie ludzi nadzwyczaj zręcznych i pomysłowych, ażeby utrzymać równowagę sił.

Namiestnik Badeni pracuje tu z całą gorliwością i rozwagą, aby nie ucierpiały w niczem nasze narodowe interesa, a ponieważ sam nie ma żadnych aspiracyi, więc głos jego jest bardzo przez wszystkie trzy stronnictwa ceniony, zaś ks. Windischgraetz nietylko ma do niego najzupełniejsze zaufanie, ale jest mu niesłychanie wdzięczny za ogromną pomoc, jaką mu oddaje. To też bez p. Badeniego wiele rzeczy popsułoby się, a może już i rozbiłaby się koalicya.

Bardzo drażliwa scena odegrała się w sobotę w sejmie bawarskim, zmieniając się chwilami w formalny skandal. Powód tej burdy jest tego rodzaju, że gdy się o nim dowiedzą w Rosyi i Francyi, to będą z radości zacierali ręce. Ale my z innej racyi musimy zanotować ten wypadek, mianowicie, widzimy w nim nie pierwszy już dowód, że ustawiczne demokratyzowanie się ciał prawodawczych musi w końcu oddziałać na ustalone formy stosunków międzymocarstwowych. Nawet, teoretycznie rzecz biorąc, inaczej być nie może, bo przecie cała instytucya dyplomatyczna, to jakby nietknięty dotąd ząb arystokratycznej budowli, którą dzisiejsze pokolenie rozbiera kamień po kamieniu. Zapewne nie przyszło to na myśl Bismarkowi, gdy po roztrzaskaniu Francyi zaprowadzał powszechne wybory do parlamentu w tej intencyi, aby — jak mówił — łatwiej mu było wygrywać państwowe symfonie na takich dudach, jak Michle i Hansy. Wprawdzie wybory do sejmów w królestwach niemieckich nie są jeszcze zupełnie powszechne, ale pod wpływem ordynacyi wyborczej do parlamentu i one wciąż były rozszerzane, aż stały się w niektórych królestwach jak w Bawaryi prawie powszechne.

Stały się więc przeważnie, zwłaszcza w południowych Niemczech, prerogatywą chłopów, małomieszczan i robotników — ludzi pospolitych, mających niezawodnie pewne cnoty, ale mających także pewne wady, zapewne gwoli reguły, że zupełnej doskonałości nie ma na tym padole płaczu. A do wad tych należą: nieokrzesanie towarzyskie i ocenianie wszystkiego wartością pieniędzy. Zdawałoby się na pozór drobnostką, że posłowie, pochodzący z takich sfer, nie posiadają salonowej ogłady i nie umieją wznieść się nad poziom interesów sakiewki: nie potrzebują przecież chodzić po woskowanej posadzce, ani flirtować z wykwintnemi paniami, a że cała ich filozofia jest satelitą sakiewki, to i dobrze, bo mają przecież szafować podatkowym groszem. Tylko to bieda, że naprawdę oni wcale nie są oszczędni, owszem, czem który parlament demokratyczniejszy, tem lekkomyślniej szasta pieniędzmi, robiąc długi bez końca. I cóż to takiemu parlamentowi szkodzi? Wszakże nie jego członkowie, ani ich wyborcy będą te długi płacili! O oszczędność takiego parlamentu pokazuje się dopiero wtedy, gdy trzeba wykreślić jakąś budżetową pozycyę, nieprzynoszącą namacalnego zysku szaremu tłumowi wyborców.

Wada nieokrzesania towarzyskiego posłów i ich bardzo skromnej wiedzy jest dla parlamentarnego systemu rządów bodaj szkodliwsza od tamtej pierwszej wady. Trudno żądać od królów, aby powoływali na ministrów ludzi z takich zdemokratyzowanych parlamentów, bo nie wiedzieliby jak i o czem z nimi mówić. Więc też w całej środkowej Europie, nawet w Danii i Holandyi, ba, nawet w arcykonstytucyjnej Belgii ustala się zwyczaj składania gabinetów z ludzi nienależących do parlamentu. Z czasem to bardzo uszczupli znaczenie tych instytucyi wyborczych, a teraz wytwarza stałe zatargi między niemi a gabinetami, jak to widzimy w Danii, Belgii, Wirtembergu, Bawaryi, po części w Prusach i w cesarstwie niemieckiem.

Zatarg w Bawaryi trwa z dawna. Tam szef rządu hr. Crailsheim zwykł postępować wbrew uchwałom sejmu, a sejm odpłaca mu się awanturami. Jedna z nich właśnie była w sobotę. Rozprawiano nad budżetem spraw zagranicznych i gdy z kolei wzięto się do etatu poselstw przy zagranicznych dworach, wódz stronnictwa ludowego Seyboth zaproponował skreślić tę pozycyę, bo — mówił — jaki ludowi z tego pożytek, że w obcych stolicach są bawarscy posłowie? co oni tam robią? Przy różnych uroczystościach paradują w złoconych mundurach, a w dni powszednie bawią się kosztem biednego ludu, który razem wydaje na ich utrzymanie 380.000 marek. Lepiej obrócić te pieniądze na gospody dla wędrownych robotników.

Kiedy z ust Seybotha wyszedł wyraz: „robotnik“, wódz socyalistów Grillenberger podskoczył jak na sprężynach i zażądał głosu, a otrzymawszy go bez trudu, jął piorunować na cesarstwo niemieckie, które urosło z krwi bratniej, przelanej w r. 1866, na cesarza Wilhelma II, mającego cezarystyczne zachcianki, na absolutyzm, coraz wyraźniej podnoszący głowę, na księcia-regenta bawarskiego, który jak knecht służy Prusom i im oddaje w niewolę Bawaryę. Czego też nie nagadał ten szanowny poseł! Chciano mu głos odebrać, ale trzy stronnictwa: chłopskie czyli ludowe, małomiejskie i socyalistyczne otoczyły go pierścieniem i naprzemian to oklaskiwały go, to wołały: „Mów dalej! Mów!“ Więc mówił, że ten „krwawy upiór“, który się nazywa cesarstwem niemieckiem, jest nieszczęściem narodu. Rok 1866 wprawdzie dodał blasku koronie Hohenzollernów, ale rozdwoił plemię germańskie, bo od związku odpadła Austrya. Prusy zapanowały nad Niemcami, gwałtu się dopuściły na Francyi, zaprowadziły militaryzm i podatki ogromne i długi, a teraz torują drogę absolutyzmowi. Bawarya jest krajem dużym, bogatym i najbardziej w Niemczech cywilizowanym, więc na niej ciąży specyalny obowiązek względem współbraci: niech pierwsza krzyknie: precz z taką jednością, skutą łańcuchem, spojoną krwią, strzeżoną bagnetami! precz z hegemonią pruską i cezarystycznemi zachciankami! — Skandal zrobił się wielki, posłowie konserwatywni i liberalni wymknęli się z sali.

Później wódz małomiejskiego stronnictwa Ratzinger zaproponował odrazu głosować nad zniesieniem całej służby dyplomatycznej, ale tymczasem inni posłowie wrócili do sali. Liberał Hebel radził na razie zrobić tylko wyłom w instytucyi dyplomatycznej przez zniesienie poselstw w Petersburgu i Paryżu, a potem powoli znosić inne poselstwa. Minister Crailsheim oświadczył jednak, że nie ustąpi nic z etatu, a dodał, że utrzymywanie służby dyplomatycznej jest przywilejem korony, tego zaś przywileju ona się nie zrzeknie. Tu hałas i wymyślania znowu się zaczęły. Prezydent musiał cenzurować zbyt krewkich posłów, którzy w gniewie opuszczali salę w mniemaniu, że zdekompletują sejm. Lecz się przerachowali i gdy zarządzono głosowanie, znalazła się niezbędna liczba posłów i oni uchwalili cały etat ministra spraw zagranicznych.

Wybór

w okręgu Żółkiew - Rawa - Sokal.

Otrzymaliśmy następujące pismo:

Prosimy o pomieszczenie w łamach *Przeglądu* motywów, dotyczących wyboru posła do Rady państwa z okręgu Żółkiew-Rawa-Sokal.

Bardzo wiele nam zależy na wyjaśnieniu pobudek, które doprowadziły do tego wyboru, fakt jest bowiem donioślejszego znaczenia i dla zasady i dla osoby.

Kandydatami na posła do Rady państwa byli: Anatol Wachnianin, przeciw któremu oświadczył się komitet centralny, i ks. Rozdzielski z Sokala, którego postawili i popierali moskalofile wzmiankowanych trzech powiatów.

Pierwszego z kandydatów nie mogliśmy popierać, nie chcąc wyłamywać się z karbów posłuszeństwa winnego Centralnemu komitetowi; przeciw drugiemu zmuszeni byliśmy wystąpić ze względów narodowych.

Gdy komitet Centralny postawił nas na bezdrożu, nie wskazując kandydata, wyłoniła się ztąd w ostatnich dniach przed wyborami między poważnymi obywatelami wyborczych powiatów myśl postawienia nowej kandydatury i zgodzono się jednomyślnie ... powszechnie szanowanego i cenionego żółkiewskiego starosty p. Józefa Lanikiewicza, którego kandydaturę wbrew jego woli i życzeniu postawiono.

Rezultat wyborów przekonał nas, że osoba p. Lanikiewicza we wszystkich trzech powiatach zyskała nadspodziewanie wielką ilość głosów, a mieszkańcy miasta naszego, uradowani tym zaszczytnym wynikiem wyborów, urządzili na cześć nowowybranego posła korowód z pochodniami, a nadto iluminowali rzęsiście swe domy.

Eugeniusz Rozwadowski. *Maryan Punicki.*

Pogrzeb Matejki.

Kraków 7 listopada.

Ogromne, nieprzebrane tłumy odprowadziły dziś zwłoki naszego mistrza na cmentarz i oddały ostatnią usługę śmiertelnym szczątkom wielkiego malarza. Już o godzinie 8 rano przed domem Matejki przy ul. Floryańskiej l. 41 zaczęli się gromadzić uczestnicy pogrzebu. Wzdłuż ulicy zbierały się deputacye z wieńcami, z bocznych przecznic napływały również liczne delegacye i osoby biorące udział w żałobnym obchodzie. Pogoda sprzyjała i publiczność kolumną tak zwartą, iż trudno było się przez nią przecisnąć, zajęła ul. Floryańską, Rynek i przylegające ulice.

Bardzo licznie był reprezentowany Lwów; przybył bowiem ztamtąd ks. marszałek z deputacyą Wydziału krajowego i 30 radnych miejskich z p. prezydentem na czele, a nadto każdy cech lwowski wysłał po dwóch reprezentantów. Radni miejscy wystąpili w pięknych strojach narodowych. Nie było prawie żadnej instytucyi czy korporacyi we Lwowie, któraby nie przysłała wieńca i delegatów. Tak stolica kraju uczciła swego honorowego obywatela, tak zbitym szeregiem otoczyła trumnę jego, oddała mu cześć ostatnią.

O godzinie 9 młodzież szkoły sztuk pięknych, pełniąca straż honorową przy zwłokach swego ukochanego dyrektora, wyniosła trumnę na marach i złożyła ją przed urządzoną naprzeciw domu zgasłego mistrza mównicą, na którą wstąpił hr. Stanisław Tarnowski, prezes Akademii Umiejętności, przybrany w żałobny strój polski i wypowiedział następującą mowę:

Po bożym tym znoju
Spoczywaj w pokoju,
O wielki—natchniony—samotny!

Temi słowy żegnał przed laty Pol Zygmunta Krasińskiego, a od owej śmierci nie mieliśmy zmarłego, do któregoby one lepiej przypadły. Boży był naprawdę jego znój: bo nie na dobro i chwałę Ojczyzny tylko podjęty, ale na to, żeby ta Ojczyzna cała, jak jest, stała się jedną wielką w świecie, w dziejach, chwałą Bożą! Wielki był naprawdę, bo zdziałał wiele, zdziałał wszystko, co mógł; a w swoim narodzie ożywił, otworzył cały jeden kształt i kierunek życia, przed nim uśpiony i zamknięty. Natchniony był: bo gorejący wielką miłością: w niej dzieła swoje poczynał i dla niej je tworzył. Samotny: bo troski swoje, uciski swoje, krzyże swoje dźwigał sam, własną siłą i wiarą, nie szukając, ktoby mu pomógł i ulżył.

Nic rzadszego w naszym świecie, jak człowiek, w którym jest wielkość prawdziwa. W tym ona była. Była w malarzu, i ta jedna wystarczyłaby na sławę i wdzięczność; ale była druga, lepsza, tamtej podpora, dusza i uświęcenie, wielkość w człowieku i w Polaku. Geniusz, to wiele: ale geniusz może być zły, bo może sobie samemu służyć, albo służyć złemu. Sumieniem rządzony, Bogu posłuszny jak dziecko, wolą potężną a prostą rwący się namiętnie do celów wzniosłych, a pełniący zawsze w czynie to, co w słowie wyznaje, a w sercu miłuje, taki dopiero jest dobry. I taki wydaje te żywoty, w których boleści może być bez miary, ale w których zarzutu, ni sprzeczności nie ma, jest tylko prawda całkowitej wielkości, większej jeszcze w cnocie, niż w dziełach.

To żywot Matejki: pasmo udręczeń srogich, dążeń wzniosłych, wspanialszych poświęceń, dzieł wspaniałych, wspanialszej od nich mocy nad sobą, zgodności z wolą Bożą, wierności w poprzysiężonej Ojczyźnie miłości.

Dziesięć lat zaledwo minęło, obchodziliśmy rocznicę ostatniego naszego zwycięstwa, ostatniej chwały. Byliśmy w dziedzińcu tego królewskiego Zamku, dla niego pełnego zawsze tych wielkich postaci, które oczyma duszy widział, i które odtwarzał, a mnie przypadło ogłosić myśl dawno powziętą, długo tajoną, zaufanym ledwo przed chwilą odkrytą: myśl złożenia u stóp Papieża obrazu „Bitwy pod Wiedniem“, na przypomnienie tego daru, jaki przed dwustu laty król z wszystkich namiotów posyłał; na dowód, że choć darów takich już nie mamy, to dusze mamy przecie podobne. Chwila to była piękna, i piękne uniesienie tych tysięcy, które zrozumiały zgodnie odrazu, że on za wszystkich odgadł i zrobił to, co było najlepszem, najpiękniejszem do zrobienia. Dziś stoimy przed jego trumną, nie pod arkadami królewskich pałaców, ale przed małym domem, gdzie jego serce bić zaczęło i przestało; gdzie w wyobraźni chłopięcej roiły się już niewyraźnie te marzenia i pomysły, które z czasem stały się „Skargą“, „Unią“, „Hołdem Pruskim“, „Grunwaldem“; gdzie się w jego duszy staczały wszystkie walki, „wszystkie samotne z Bogiem sumienia rozmowy:“ — a ten sam człowiek, który w owym dniu chwały obwieszczał jego myśl i wolę, dziś w dniu żałoby ma mówić o szlachetności skończonego żywota. Zadanie zbyt wielkie. Czuć ją nie dosyć; znać nie można, bo któż zbadał wszystkie tej duszy tajniki. A gdyby znać nawet, jak objąć je w słowa krótkie, doryweze...

„Mów o nas poprostu, a z krzykiem“ — żądały od poety cienie smutnych Wenedów. — On tak zdaje się upominać. „Mów o mnie poprostu, bo wiesz, że w sercu szarpany i wichrzony bardzo, w sumieniu i w wierze miałem zawsze gołębią prostotę.“ — A z krzykiem! to już nie on żąda: ten krzyk wyrywa się sam na daleki tylko blady domysł, ile on w życiu przebolał, przewalczył, przemilczał, przemodlił.

A więc poprostu.

Matejko był malarzem. Jakim? Miał wiele wad w swojem malarstwie, mówią. Prawda! Ale miał to, co dziełom ludzkim jedno daje nieśmiertelność: miał duszę, i ludzką duszę umiał oddawać w jej niezliczonych zjawiskach i rodzajach uczuć, cierpień, popędów; a że to umiał oddawać, więc i do duszy ludzkiej zawsze mógł i zawsze będzie mógł przemawiać i trafiać. Co sprawia, że z takim zachwytem wpatrujecie się w dzieła, zbyt często niedoskonałe, malarzy, których ręka jeszcze nie wyćwiczona nie umiała posłusznie i zupełnie wykonać tego, co myśl poczęła i zamierzała? Do zachwytu, do łez czasem, porusza was dusza mówiąca z malowanej twarzy, dusza, którą ten malarz znał, z którą razem czuł, w którą się swojem uczuciem przenosił. A nieraz inny, technicznie tak biegły, że aż może doskonały, zmysł tylko zajmie na chwilę, a nie wywoła żadnego drgnienia w sercu, żadnej myśli w głowie. Matejko miał wady, zapewne: ale u niego każdy ludzki kształt był żywem ciałem, w którego każdym calu krążyła krew i drgał ruch, a w każdem z tych ciał była jakaś dusza, jakaś natura, jakaś żądza czy troska, namiętność czy boleść... i tę pozna, w tej się pozna dusza ludzka zawsze, zawsze wyczyta w jego obrazach swoje cierpienia i walki, swoje zapały i swoje frasunki, swoje grzechy i swoje skruchy, swoje wzniosłości i swoje upadki — słowem to, co stanowi jej istotę i jej ziemskie życie.

Natura artystyczna i jej władze były osobne, samodzielne, własne; indywidualność Matejki miała swoją treść, cechę i siłę, wypiętnowaną na każdym najmniejszym rysie jego ręki. Z tych władz, najbardziej zdumiewającą była wyobraźnia: ta potężna i twórcza, która nie ma spokoju i wytchnienia; nigdy jej do syc, zawsze ... poczęła, już drugie i trzecie jawi się, tłoczy, domaga się ... jak z rogu obfitości sypie jedno po drugiem niezliczone dzieła mniejsze, dla wypoczynku niby, od niechcenia, między kolosalnemi pomysłami i płótnami. Służy jej zdolność wykonania, mechaniczna zdolność pracy, którą pojąć trudno. Jak starczyło czasu, jak mógł zrobić tyle, a własną ręką wszystko, bez pomocników, bez uczniów — jak w tem ciele drobnem, wątłem, chorowitem starczyło siły? Czem się to dziwne zjawisko tłómaczy? Tem co było treścią samą tej natury artystycznej — potęgą. On był potężny w wyobraźni, potężny w ręku. Równiejsi, doskonalsi od niego malarze być mogli: było ich bardzo mało z takiem znamieniem swego jestestwa.

A źródło tej potęgi i jej rdzeń w czem? Dar boży naprzód, talent, powierzony słudze, którego nie zmarnował, nie zakopał, ale przyrobił i w dziesięcioro pomnożył. Ale prócz tego? Prócz tego, to tajemniczy wpływ zbiorowych uczuć, tych, co rozlane wszędzie, w pewnych duszach skupiają się i tryskają jak krynice, wybuchają jak wulkany: to te nagromadzone miłości, żale, skargi i błagania, które od sta lat podnoszą się z tej ziemi do nieba, a w różnych pokoleniach znajdują ludzi,

1

Indye Wschodnie.

Szkice z podróży w roku 1891.

Przez *Romana Ujejskiego*.

I.

Aden. — Na morzu. — Karaczi. — Bombaj.

Ten Aden w czerwcu, to piekło okrutne — gorsze bywa tylko czasem w duszach ludzkich — choć mrozy trzaskające na świecie.... „Australien“ dowiózł mię tutaj ze Sydney, pożegnał i dalej popłynął. Mam czekać cztery dni na odpływający do Bombaju inny parowiec. Dla nabrania otuchy na ten pobyt, biwakowaliśmy jeszcze na statku w porcie, z towarzyszami długiej podróży; przy ostatnim „farewell“ na pożegnanie, zaszumiał szampan w kielichach, wnet potem zakipiało morze od ruchu śruby; znalazłem się w łodzi murzyńskiej z kuframi mymi.

Nieswojsko mi było samemu, ale żałować za późno, statek mój jak szary punkcik z wstęgą dymu czarnego niknął na horyzoncie, za to bliżej, u brzegu portu, zajaśniały stalowym połyskiem postacie Somalów; każdy chwycił pakunek i skierowałem się do hotelu. Umieszczono mię w pokoju na piętrze, ale na krótko. Brakowało oddechu; ściany, sufit, podłoga, wszystko paliło. Troskliwa gospodyni Francuska, choć sama już trapiona malaryą, przeczuła moje położenie i przyszła na zwiady. Siedziałem bezsilny. Zaraz na szeroką werandę wyniesiono łóżko, fotel mój, stół, przeniosłem się na powietrze; dano mi lód za drogie pieniądze i popijając wodę sodową — usnąłem. Pomimo zmęczenia dwudziesto-czterodniową podróżą morską, spoczynek był krótki. Muskity cięły zajadle, powietrze paliło, nic ze spania, nic z nocy, do rana przesiedziałem, wachlując się ciągle.

Nie zajął mię budzący się do życia u stóp moich Aden, ni korowody czarnych, ani wielbłądów szeregi, niosące do portu dziwacznie na swych garbach spiętrzone ładunki; obojętny byłem na ranne modlitwy Mahometan, klęczących nad brzegiem morza, z dłońmi błagalnie wzniesionemi ku Mece, wszystko widziałem przez szkła zmęczenia, łaźni parowej i nieprzespanej nocy, a to są bardzo złe okulary w podróżach. We dnie leżałem w zacisznym kącie dolnych ubikacyi hotelu, a wachlowany bez ustanku przez najętego w tym celu Somala, spałem jak suseł. Budzono mię do lunchu, do obiadu, i wtedy jak automat odbywałem tę podróż do sali jadalnej, wracając później na leże swoje. Właściciel hotelu nie zachęcał, by brać chytrego Somala na wachlowanie w nocy, więc już sam zostawałem i spędzałem ją zawsze bezsennie.

W tych kilku dniach pobytu mego, nie przybił do portu żaden parowiec, Aden wyglądał jak wyludniony z białych. Stali mieszkańcy siedzieli w swych domach, przed słońcem się kryjąc troskliwie; bazary puste, często pozamykane; handlarze piór strusich i innych osobliwości, atakujący zawsze przybyłych, błagalnie prosili teraz o kupno towaru za cenę tak niską, o jakiej wyobrażenia mieć nie można, gdy do portu zawinie statek z falangą podróżnych: wtedy jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej obudza się wszystko i żąda od chwilowych przyjezdnych, na ciężki wprawdzie swój żywot, sutej zapłaty. Postanowiłem wyzyskać czterodniowe cierpienia moje i bardzo dużo ładnych rzeczy pokupowałem za bezcen. „La Seine“ parowiec mój, ukończył handlowe czynności, wziął czterech podróżnych ze statku w nocy przybyłego z Marsylii i o świcie wypłynęliśmy na dalszą włóczęgę. Bardzo miłych znalazłem nowych towarzyszy podróży: kapitan inżynieryi angielskiej z żoną i siostrą swoją i inny Anglik, handlarz zboża. Wszyscy płynęli do portu Karaczi na granicy Beludżystanu. Kapitan podążał stamtąd do swojej fortecy w górach Afgańskich, handlarz zaś do Indji północnych.

Nie szybko tym razem schodziły dnie i godziny. Płynęliśmy połową chyżości „Australienu“ do Bombaju aż całych siedm dni, a morze już było mussonami wzburzone, wiejącymi bez ustanku przez czerwiec i lipiec — a „Seine“ mała, chwiejna, nie przecinała bałwanów jak tamten kolos, ale się pięła na fal grzbiety, spadała w doły, chyliła na boki, — w powietrzu śruba się często kręciła, jęczały wiązania statku, cierpiała biedna „Sekwana“, a my naprzemian, z nią razem. Ja, jako stary „wilk morski“ przebywszy mórz tyle, dodawałem otuchy mym biednym Angielkom, które swą pierwszą podróż odbywały w tak ciężkich warunkach. Pogoda mimo mussonów była ciągła, to z paniami mymi na swoich fotelach leżącemi, gwarzyłem przez dnie całe i wieczory. W nagrodę za to dostałem całą aptekę środków antifebrycznych na podróż po Indyach, a dla nich przez wdzięczność posłałem później Sienkiewicza w angielskiem tłumaczeniu, aż w góry Afgańskie.

Karaczi, to pierwsze miasto indyjskie, dziwne wrażenie sprawiło na mnie. Choć ludne bardzo, na krocie — bo w Indyach wszędzie się roi, wszędzie po miastach setki tysięcy mieszkańców — tutaj, na piaskach nadbrzeżnych niedaleko od delty Indu, rozrzuciły się domy na mile całe. Nieraz, pośród szeregu mieszkań i przy ulicach główniejszych, znajdowałem puste, ogromne przestrzenie piaszczyste i ludzi, nie w zgiełku. Gdyby nie świadomość ta, że Karaczi jest miastem, sądziłbym, że kilkanaście wsi ugrupowało się w bliskości siebie. Anglicy wysiedli, a „Seine“, wziąwszy towary, ze mną jedynym białym podróżnym, wypłynęła na morze, dążąc już wprost do Bombaju. Płynęliśmy teraz pod wiatr i pod fale. Mussony się wzmogły, morze kipiało bardziej, — Angielek nie było, przed któremi przedtem musiałem dobrym przykładem świecić — uległem znanym prawidłom małego statku i fal rozhukanych. W zacisznym kącie pokładu, gdzie fale nie dochodziły, leżałem dwie doby.

Płytkie morza, okalające Indye, zdawały się do dna wzburzone burzami, zmącone, brudne, a tak niemiłe wspomnieniem, psuły efekt okazujących się już palm nadbrzeżnych i konturów pierwszej indyjskiej stolicy.

Wpływaliśmy powoli, ostrożnie, jakby w laguny weneckie, mijając częste znaki ostrzegające — wbijane pale — małe, na kotwicach wiecznie stojące statki z pilotami i służbą portową, płynęliśmy długo kanałem pogłębionym, jakby Suezkim — aż bliżej, zarysowały się miasta brzegi, port ogromny otworzył groblami wejście gościnne, i niebawem byliśmy już przy brzegu.

Obawiam się, zaczynając opis Bombaju i naturalnem następstwem innych miast wielu, które zwiedzałem, abym się nie stał podobnym do tak nieznośnych Ciceronów włoskich, którzy ciągnąc za sobą zmęczone grono turystów, recytują jak kataryńki Giottów, Tintorettich, Del Sartów — często tam nawet, gdzie ich nie ma wcale. Na obraz kraju, jego stosunków, kilkudziesięciowiekowej historyi i odrębnego kultu, za mało widziałem i wiem nie wiele — o tem już zresztą całe tomy spisali uczeni. Guidem po Indyach być nie chcę, bo też są lepsi odemnie i dokładniejsi, ja pragnę tylko przedłożyć szkice z podróży, ale dla szkiców trzeba być zawsze pobłażliwym.

Bombaj ma prawie milion mieszkańców; na milion ten, jest ledwie białych tysiąc, nie licząc załogi wojskowej; więc wszędzie miedź błyszczy, świecą turbany złote, białe, czerwone, niebieskie, malownicze draperye i stroje; często, same metaliczne ciała, a wszystko oblane słońcem południa, olbrzymi sprawiało efekt.

Wnet zapomniałem o tak niemiłych dniach przeszłych. Jechałem powozem do hotelu „Apollo“, którego wysłannik oczekiwał w porcie na statek mój. W bogatym stroju szamerowanym złotem, wyglądał na koźle jak książę indyjski, a przecież, w pas giął się przedemną ile razy łamaną angielszczyzną przemawiał. Ruch w dzielnicy portowej niezwykły, niedający się porównać z żadnym europejskim portem. Olbrzymie góry worów napełnionych zbożem, wznosiły się pod gołem niebem przy brzegach, i równie wielkie stosy drzewa. Zboże, przeznaczone na eksport oczekuje odpływających do Europy statków, drzewo zaś, przywożą do Bombaju z obfitszych w lasy okolic. Na linii cłowej od portu, chcieli czarni poszukiwać pomiędzy rzeczami memi za strzelbą, ale na szczęście zabrał ją „Australien“ z resztą kufrów moich do Europy.

(C. d. n.)

co mają prawo o sobie powiedzieć: „za miliony kocham i cierpię".

Kiedy z tego domu mały chłopiec wychodził na miasto, już w dziecinnej duszy niejasno odzywało się pytanie: „co z wami, co z nami się stało?"

i póki żywota
Nie opuści go już ta tęsknota,
Ale w czoło dziecinne się wryje,
Aby wiedział, że na grobach żyje.

Im dalej w lata, tem bardziej
We mnie ogień żarzył się miłości!
Okiem łzawem po trumnach wodziłem,
W nieboszczyków się twarze patrzyłem,

aż gdy z chłopca rozwinął się młodzieniec, a w młodzieńcu powołanie, kiedy uczuł ten „urok, który nęci wiecznie duszę w kraj pamięci", usłyszał głos tego anioła, co każe patrzyć „w dawno zmarłych żywe twarze" — wtedy z powołania wyszło postanowienie; w duszy powstała żądza śmiała i uroczysta przysięga: Odtworzyć ich, pokazać ich, wszystkie ich chwały i wszystkie upadki, wszystko, co było w ich duchu i dziejach, wszystko objąć, oddać, uwiecznić! Życie na to poświęcić,

by mnie rany mej ziemi bolały,
by jej pomódz do cierpień i chwały.

Żądzy śmiałej dopomogły dary i siły, które w sobie czuł; przysięgę spełnić dopomógł wielki duch, jaki w nim był. Odgadnę ich, odtworzę ich wszystkich! chcę wiedzieć, jacy byli, jak który wyglądał: muszę ich oczyma duszy zobaczyć. Niech mi pomoże, co może, lada złamana pieczęć, czy pieniądz zatarty. Szukać będę wszędzie, gdzie jaki ślad mógł zostać: ale dojdę, rozpoznam, ujrzę ich wszystkich, od tego, co pierwszy chrzest przyjął, aż do tego, co ostatni nosił koronę!

I zaczęła się praca, intuicyi razem i badania (badania każdego szczegółu, każdego drobiazgu, każdego zwyczaju, naczynia, stroju, każdego okresu dziejów i każdej warstwy społeczeństwa) — aż wreszcie

kości z pod mej stopy
w olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły

i ukazał się „Skarga", a za nim „Reyten", „Unia", „Batory", i tak dalej, aż do „Kościuszki".

Ale nie o kształty tylko chodziło, nie o samo odtworzenie przeszłości. To pokolenie, w którem zrodził się Matejko, wychowane na natchnieniach i przepowiedniach wielkich poetów, ono wierzyło, że naród przeznaczony jest do wielkiej przyszłości, a obowiązany do wielkiej, „nadeuropejskiej cnoty". — Przez tę do tamtej teraźniejszości przysposabiać i prowadzić, to sam grunt jego duszy, to pojęcie swego czasu i obowiązku — i to program życia Matejki. Niech moje przyszłe dzieło obejmie wszystkie „od chwały do niewoli stopnie"! Niech im pokaże zmarnowane łaski boże i w ślad za tem zmarnowaniem idące sromoty; niech pokaże zasługę i chwałę, wzniosłość i bohaterstwo, ale i płochość, i lekkość, i bezmyślność, i podłość nawet — a wtedy może się zamyślą, może poznają co złe a co dobre, uczują, jakimi być mają, a czego się strzedz...

Czy Matejko nie przekraczał możności, nie zmuszał natury swojej sztuki, kiedy żądał od niej takiego skutku, oddziałującej na wzrok i przez wzrok tylko, żeby była bezpośrednią tendencyą i nauką? Zapewne. Ale był synem swego czasu i swego narodu, chciał, żeby wszystko działało i miał (podobnie jak Mickiewicz, od niego może przejętą i odziedziczoną) mistyczną wiarę w tajemniczą moc potężnej duszy i woli nad duszą i wolą drugich. On czuł się silnym i myślał, że swoją siłą poruszy i wstrząśnie. Jak Mickiewicz w swoich słowach chciał robić „wyzyw" do duszy drugich — tak on ufał, że obraz jego każdy będzie takim do duszy polskiej wyzywem.

A więc cóż im pokazać naprzód? Oto groźbę, przepowiednię nieszczęścia, która się spełnić musi, choć odwróciłby się mogła, „byleśmy chcieli". To „Skarga", to prolog całego dzieła, całej tej malowanej epopei, czy tragedyi. Ale „Skarga" jeszcze nie był zaczęty, kiedy już było wiadomem, oznaczonem, co po nim nastąpi, jak, kiedy, w jakim porządku. Po groźbie pójdzie spełnienie; po zmarnowaniu łask Bożych i słów proroczych, ohyda, sromota, sejm Ponińskiego. Tak upada, kto się podnieść nie chce! Ale nie zostawić ich na tym wstydzie i na tej rozpaczy. Niech zobaczą, że Bóg zasiał w ich duszy ziarna takiej wzniosłości, do jakiej ludzkość i historya rzadko się wznoszą: pokazać im Unię! przypomnieć, że Bóg dawał im nie radę tylko, dawał i męztwo i zwycięztwo — pokazać im Batorego. Potem Grunwald, potęgi państwa uzupełnienie i ubezpieczenie... Ale zwycięztwo, tryumf, czy to ostateczny cel? kres i szczyt zasługi i chwały? Nie — zwycięztwo z poświęceniem, zwycięztwo z miłością bliźniego, zwycięztwo nie dla własnej ojczyzny tylko, ale dla chwały Bożej i ratunku świata, to dopiero wielkie! A więc między proroctwem Skargi a jego spełnieniem, po blaskach Unii i Wielkich Łuk, stanie „Jan III pod Wiedniem", jak chorągiew Proroka posyła do stóp Papieża i pisze *veni, vidi, Deus vicit.* Jest stopniowanie doskonałości, coraz wyższego ideału: te stopnie on chce wskazywać. A po poświęceniu za bliźnich i wiarę, co jeszcze zostaje? co już na świecie wyższego, świętszego? Jedno tylko, zbawienie przez męczeństwo, które zdobywa zmiłowanie, a sprowadza cud. Jest co takiego w dziejach polskich? Nie ma. Ale jest w obcych. Jest ta „Dziewica", co z kija pasterskiego zrobiła cudowną oriflamę, a sama spłonęła w ofierze; może jej krzywda i męka była potrzebna do ostatecznego zadośćuczynienia, odkupienia, zabezpieczenia...

Obrazy były. Co z niemi robić? Rozsyłać po świecie, żeby tam świadczyły: duch polski żyje i nie upada. A potem? Potem jeden przeznaczyć do Zamku, żeby tam przyszłości mówił, co w przeszłości było mądrego i dzielnego; drugi od narodu w hołdzie złożyć Papieżowi w Rzymie, na pamiątkę tego, co było, na przypomnienie tego, co jest. Inny do Narodowego Muzeum darować przybytkowi sztuki na ozdobę. Takiej hojności, takiej wspaniałości darów, takiej pogardy pieniądza, takiej pracy z poświęcenia tylko, z miłości swojej sztuki a dla chwały swojej ojczyzny, gdzie szukać? On rozdawał, trwonił te skarby, jak bogacz, któremu przebrać się nie mogą, bo tworzył i tworzył wciąż nowe. Sobie tylko ich nie chował, nie zostawiał, nie zmieniał na dostatek, mienie, wygodną starość. A za to wszystko żądanie nagrody jakiej? na kilka chwil przed śmiercią, w ostatnich niemal słowach mówił do żony: „nie pozwól mnie chować w grobie zasłużonych, ale gdyby można, żeby Zygmunt nademną zadzwonił, ta najmilsza dla mnie w życiu muzyka"... — Ten głos dzwonu, który w nim budził wszystkie echa minionych szczęść i boleści, ten głos żeby go pożegnał, oto jedyne żądanie za wszystko, co zrobił.

Po „Dziewicy Orleańskiej" jego program był spełniony: niewyczerpaną jego twórczość i namiętność tworzenia. Jeszcze Kościuszko, jeszcze to wspaniałe marzenie o całych dziejach cywilizacyi polskiej, w stanowcze chwile ujętych, które zostało tylko szeregiem wspaniałych szkiców — a jeszcze te wizerunki królów, których dusza mówiła z intuicyjnie stworzonej postaci — i ten z przed dwóch lat „Trzeci Maj", i tyle innych, i „Sluby Jana Kazimierza" obraz niedokończony, jak ślub niespełniony... i wreszcie.

Święta miłości rodzinnego miejsca! Całą ojczyznę miłować trzeba i należy, ale wolno, godzi się w niej przywiązać się szczególnie do jednego kąta — cóż dopiero, kiedy tym kątem jest Kraków, Kraków Wandy i Kazimierza, Jadwigi i Batorego, Zygmunta i Sobieskiego, i Kościuszki. Kto go kiedy miłował bardziej jak Matejko, kto mu wierniej całem życiem służył. W drogiem mieście był kościół, gdzie przez wieki zbierały się wszystkie modły, łkały wszystkie łzy, brzmiały wszystkie kolendy i pieśni. Kościół cały żyjący prośbami tych, co się w nim modlili, potrzebny temu miastu, jak jego serce prawie, a murami swemi, wieżami swemi, heynałami swemi, i tą samą modłów, która przez wieki zeń się podnosiła, wołający: „Pośpiesz się Panno ze swoją obroną".

Kościół ten potrzebował naprawy, odmalowania. Wiele dni i nocy, wiele natchnień i modlitw, wiele lat poświęcał mu Matejko! Nie wszystko dobrze zrobił, mówią! Ale jak pojął, jak począł, to stopniowanie chwały, blasku, tryumfu, które rosną i rosną, aż przy wielkim ołtarzu jaśnieją światłością taką, że na ziemski podnóżek niebieskiej chwały, to dosyć! Jak zazdrościłby Włoch z XV wieku, sam błogosławiony Angelico nawet, tego pomysłu aniołów, śpiewających litanię, każdy inną część, a wszystkie tak zgodnie, a wszystkie tak błogo, tak rzewnie, tak po dziecinnemu, prosto a święcie. O, niech mówią, co chcą, jest niebieskiej glory i ziemski odblask w tym kościele, i dzieło jest godne, ma prawo wołać z twórcą swoim razem: *Salve Virgo Gloriosa!..* Dziś te anioły wszystkie pewno wyszły na powitanie i otoczyły tego, które je z tej ziemi przeczuwał i widział: a gdy on się do furty niebieskiej zbliża, śpiewają, jak tu w kościele, *Salve o valde decora*, a on dodaje, co przez całe życie mówił: *et pro nobis Christum exora.*

I tu jakże nie wspomnieć o tem, co w jego wielkości było największe i najpokorniejsze, o jego pobożności i wierze. Było w niej coś dziecinnie czystego; coś średniowiecznie pewnego a gorącego; coś po staropolsku, po wiejsku ufnego, czułego. Ale był rozpłomieniony mistycyzm dusz przeczuciowych, wrażliwych — i dzisiejszego katolika niezachwiany statek w przekonaniu i woli. Z wiary, z popędu uczuć, z gorącości serca, ale i z rozumu, który wie co i dlaczego, Matejko był katolikiem, był synem Kościoła, jakich między nami, jakich wszędzie mało.

Po bożym tym znoju
odpocznij w pokoju

ty, coś go nigdy nie miał za życia! — I teraz dopiero, mówiąc o nim, chce się mówić z krzykiem, z płaczem, bo życie miał ciężkie i twarde. „Na ziemi pokój ludziom dobrej woli" zwiastowali aniołowie w Betleem! Pokój? W naszym czasie, w naszym kraju, dla ludzi dobrej woli pokoju nie ma. Jest tylko walka, tylko trud, tylko strach i to co będzie, wędrówka straszliwa *in periculis, in labore, et aerumna*, rozterka w świecie, w narodzie, w własnem sercu i myśli: a im większe to serce, im ta myśl głębsza, tem więcej bierze w siebie wszystkie boleści, tem więcej się trwoży, tem pełniejszy kielich goryczy... On wypił do dna ten, co mu był przeznaczony; ani jednej kropli nie zostawił, i ani jednej w kielichu nie brakło. Kto je zliczy? Domyślamy się męczarni Polaka, ale i tych dobrze nie znamy — a jakie mogły być męki człowieka, artysty, jakie walki pokory z dumą, wyrzeczenia się z pragnieniem, przebaczenia z oburzeniem?... Bóg jeden wie, i on sam wiedział, bo doznał. — „Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy." — Żadna nie była od tej boleśniejszą, żadna nie nosiła w rysach, w wyrazie głębszego, wymowniejszego piętna cierpienia. A przy tej boleści i przy tem milczeniu, przy tem poświęceniu i wyrzeczeniu się siebie, przy tej pokorze przed Bogiem w wielkości dzieł dokonanych, jak się małym i lichym wydawał każdy z naszych łatwiejszych, pogodniejszych żywotów. On czynił ciągle i bez wytchnienia, i miałby prawo powiedzieć o sobie, „że się palił wciąż ofiarą na ołtarzu swej ojczyzny" — aż spłonął.

Nie zagaśnie! Święcić będzie na murach naszych świątyń i zborów, świecić w dziejach naszej oświaty, w czyścowych dziejach naszego tegowiecznego bytu, oby w naszych duszach także jako przykład i wzór. I nie zagaśnie przed Bogiem: ale jak kadzidło palić się będzie płomieniem swojej wiary i miłości, swojej boleści i cnoty. *Ascendet sicut incensum.* A czy *descendet super nos misericordia?* Nie może być, żeby takie żywoty, takie miłości, takie cierpienia, wagi i skutku nie miały. One nie są pewnym zakładem zmiłowania, bo to zawsze odwrócić od siebie możemy; ale są znakiem opieki, łaski, miłościwej woli. O to chodzi, żeby tych zasług nie zmazać, tych łask nie marnować, tych cnót nie zagrzebać; nie przeszkadzać wysłuchaniu tej ostatniej modlitwy, która była streszczeniem całego życia Matejki (a dziwnie, dosłownie prawie podobna do tego, co przed samym zgonem mówił Szujski, jak było podobieństwo w ich duszach i zasługach): „Boże, błogosław mojej ojczyźnie!"

O wielki, natchniony, samotny! odpocznij w pokoju wiecznym, a światłość wiekuista niech po Tobie świeci na tej ziemi."

Po mowie tej, wśród szpalerów gęsto zbitej publiczności, stojącej na chodnikach, oraz wśród szpaleru utworzonego przez młodzież szkół średnich, kondukt prowadzony przez ks. biskupa sufragana przemyskiego Glasera, ruszył ku kościołowi N. P. Maryi.

Na czele orszaku szła „Harmonia" grająca żałobne marsze, a za nią długi szereg deputacyi z wieńcami. Wieńców nadesłano przeszło 500. Wśród nich ogólną uwagę zwracał wieniec od ludu polskiego z Kujaw, uwity z kłosów pszennych i róż ziemi kujawskiej; niósł go Kujawiak, Franciszek Posadny ze Szymborza. Pięknymi również były wieńce od młodzieży warszawskiej, z Ukrainy i t. d. Najoryginalniejszym był wieniec zbiorowy artystów, zestawiony z 40 przeszło palet, umieszczonych na palmach, przewiązany żałobnemi wstęgami i ozdobiony godłami malarskiemi i rzeźbiarskiemi.

Sklepy w ulicy Floryańskiej i w Rynku, były pozamykane. W latarniach pokrytych krepą płonął gaz.

Za deputacyami szło duchowieństwo zakonne i świeckie, za niem senior lwowskiej Rady miejskiej p. Apolinary Stokowski, otoczony delegatami Rady m. Lwowa, niósł srebrny wieniec, za nim p. Juliusz Kossak, niósł na poduszce ordery i honorowe odznaki Matejki, a obok niego p. Tytus Maleszewski z Warszawy niósł krzyż legii honorowej, którym odznaczono mistrza.

Zwłoki dźwigała na swych barkach młodzież szkoły sztuk pięknych. Za trumną szła bliższa i dalsza rodzina zgasłego mistrza; w pierwszym rzędzie syn Tadeusz, oraz zięciowie pp. Kirchmayer i Unierzyski; przybyła także spokrewniona rodzina pp. A. L. Serafińskich z Bochni. Tuż za rodziną urzędnicy Magistratu krakowskiego nieśli srebrny wieniec Wydziału krajowego, za którym postępował marszałek krajowy ks. Sanguszko wraz z deputacyą Wydziału i delegat Koła posłów polskich w Wiedniu p. Leon Chrzanowski wraz z członkami Koła pp. Popowskim, Sokołowskim i Weiglem. Za nimi szli naczelnicy władz rządowych, następnie zaś Akademia Umiejętności z prezesem hr. Tarnowskim na czele. Za Akademią szedł Uniwersytet krakowski licznie reprezentowany, oraz delegaci Uniwersytetu lwowskiego, pp. rektor prof dr. Ćwikliński i prof. dr. Balasits; szkołę politechniczną lwowską reprezentował prof. Zacharyewicz. Osobną grupę stanowili profesorowie szkoły Sztuk pięknych, oraz artyści-malarze i rzeźbiarze. Między malarzami był też głośny malarz rosyjski Repin.

Orszak zamykała Rada miasta Krakowa z p. prezydentem Friedleinem, oraz Rada m. Lwowa z p. prezydentem Mochnackim na czele, komitet pogrzebowy i liczna publiczność. — Kończyły orszak dwa plutony straży pożarnej.

Do kościoła N. Maryi Panny wchodziły kolejno deputacye, a zwłoki wniesiono przy dźwiękach żałobnego marsza Beethovena. — W kościele złożono trumnę na katafalku w presbiteryum. Katafalk otoczony zielenią, kwiatami i jarząco oświetlony. Naokoło niego ustawiło się duchowieństwo i deputacye z wieńcami.

Sumę żałobną przed wielkim ołtarzem celebrował ks. kardynał Dunajewski. Po ukończeniu sumy wszedł na ambonę ks. prałat dr. Władysław Chotkowski i wypowiedział mowę żałobną, pełną porywającego zapału i głębokich myśli.

Złotousty ten kaznodzieja sławił chwałę mistrza i jego zasługi dla sprawy narodowej i Kościoła. Rozpoczął od cytatu z proroka Izajasza: „Surdi audite et caeci intuemini" i wskazał, jak Najwyższy zawsze dobierał z pośród narodu wybranego proroków, aby byli stróżami i pocieszycielami swych braci. Na proroków tych wybierał nie posiadających daru słowa, ale czujących swe posłannictwo. W ciężkim czasie zesłał Bóg polskiemu narodowi niemego kaznodzieję, który wspaniałemi dziełami poruszać miał serce i ducha swych rodaków i rozsławiać chwałę swej Ojczyzny. Nie prorok to był, ale wybraniec Boży. Gdzie nie sięga mowa i wpływ kaznodziei, tam sięgał wpływ geniuszu jego, wielki, potężny, wstrząsający sercem i uczuciami narodu. Przypominał on nietylko rodakom, ale całemu cywilizowanemu światu, że Polska choć jej od stu lat na pogrzeb dzwonią, żyje. Dziś Polska ta płacze po stracie jednego z największych swoich duchów, płacze po śmierci najlepszego syna Ojczyzny i nie może pogodzić się z myślą, że już nie posiada tego, co ro[k] rok darzył ją arcydziełami swego pędzla. mistrza sławę i talent pragnie mówca gł[...] ale jego żywot na wskroś chrześcijański, nic niezachwianą wiarę jego, która była natch[nie]niem i źródłem niewyczerpanem potężn[...] myśli przelewanych na płótno.

Mówca przeszedł następnie do skreślenia położenia politycznego naszego kraju i sta[no]wiska jakie zajmuje Ojczyzna nasza wśród [...]carstw. Dziś, kiedy jesteśmy nieszczęśliwi [i] wszędzie poniewierani, kiedy o nas wszędzie zapomniano lub z lekceważeniem wspominają, jakże niespożytą zasługę ma ten, co swemi dziełami wskrzeszał w pamięci cywilizowanego św[iata] to chwałę Polski i żywotne jej prawa. Jak wieczny wyrzut sumienia cięży nad Europą polityc[zną] zbrodnia na narodzie naszym popełniona, mści się na niej milionowemi armiami i tym s[ta]nem nieustannego przygnębienia, jaki ogar[nia] współczesne umysły i w tym chaosie mal[ar]stwo polskie bierze rolę premiera sprawy [na]rodowej. Polskę pogrzebaną politycznie wskrzeszają nad Spreą w imię polskiej sztuki.

Mówca podnosi głębokie u zgasłego M[i]strza zrozumienie konieczności związku p[ol]skiej sztuki i polskiego kościoła, zamanifestowane darem „Sobieskiego pod Wiedniem" [dla] Watykanu i stworzeniem „Dziewicy orleańskiej". Te i cały szereg innych dzieł Matej[ki] to wspaniałe epopeje tryumfów i sławy narodowej, poczęte z miłości Ojczyzny, jakiej przykładu niełatwo w ostatniej naszej epoce wynaleźć. Wyrazem tej miłości był i ostatni ni[e]ukończony obraz głębokiego znaczenia „Slub Jana Kazimierza".

Przyświecała mu myśl przypomnienia ogółowi idei uobywatelenia ludu i wspólnej nad jego dobrem pracy wszystkich stanów.

Za pracę niezmordowaną, za miłość gorącą, za wzory cnoty i patryotyzmu, za charakter wzniosły i czysty cześć niech będzie Mistrzowi po wszystkie wieki.

Po kazaniu ks. kardynał odprawił wraz z duchowieństwem kondukt żałobny, poczem pochód, prowadzony przez ks. infułata Krzemieńskiego, wyruszył z kościoła.

Teraz zwłoki Matejki złożono na karawanie, zupełnie odkrytym, obitym czarnym aksamitem ze srebrnemi sznurami całunu. P[o] bokach wisiały palety malarskie, ozdobion[e] srebrnymi wieńcami laurowymi. Z przodu her[b] miasta Krakowa, w głowach zaś orzeł bia[ły] na czerwonem polu. Karawan ciągnęło sze[ść] karych koni.

Sznury całunu ujęli pp. Marszałek krajowy ks. Sanguszko, prezydent Krakowa p. Friedlein, wiceprezes Akademii prof. dr. Zoll, sekretarz jeneralny Akademii prof. Smolka, rektor Uniwersytetu lwowskiego prof. dr. Ćwikliński, wiceprezes Rady powiatowej krakowskiej dr. Fr. Paszkowski; z drugiej strony pp. reprezentant Koła polskiego poseł Leon Chrzanowski reprezentant artystów Henryk Rodakowski prezydent m. Lwowa p. Mochnacki, reprezentant szkoły sztuk pięknych prof. Cynk, reprezentant Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. dr. Kasparek, reprezentant Zjednoczonego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych hr. Zygmunt Cieszkowski.

Orszak ruszył wschodnią stroną Rynku. Okrążywszy Rynek, wszedł w ulicę Floryańską, następnie przez rondel Bramy Floryańskiej koło Szkoły Sztuk pięknych.

Gdy pochód wychodził z rondla, zabrzmiał z trybuny, zbudowanej pod Szkołą Sztuk pięknych, chór „Lutni" pod kierunkiem p. Steibelta. Pod Ogrodem Strzeleckim odezwały się salwy z moździerzy, oddające ostatni hołd zwłokom długoletniego członka Towarzystwa strzeleckiego. Na cmentarzu po odśpiewaniu modlitw i pokropieniu zwłok odśpiewał bardzo pięknie *Salve Regina* chór Towarzystwa muzycznego pod kierunkiem p. Barabasza. Poczem wyszedł na przygotowaną obok grobu rodziny Matejków mównicę prof. Łuszczkiewicz i pożegnał zwłoki mistrza w imieniu dyrekcyi Szkoły sztuk pięknych, której ś. p. zmarły był przez 20 lat przeszło dyrektorem i w imieniu Muzeum narodowego, które Matejko wzbogacił swymi darami.

Następny mówca p. Ludomir Benedyktowicz pożegnał zwłoki w imieniu tej drużyny po pędzlu, która pod okiem Matejki rozwijała skrzydła do lotu, a mowę swą zakończył w te

Przegląd literacki.

Gabryela Zapolska „We krwi", powieść współczesna w dwóch tomach. Warszawa 1893 r.

Pani Gabryela Zapolska należy do tych talentów beletrystycznych, które mienią się, jak motyl Apollo, stosownie do słońca, w którego promieniach się kąpią. Raz fioletowy, to znów zielony, ciemny lub jasny, Apollo łudzi widza, nie znającego tajemnicy jego barw zdradliwych.

Pani Zapolska debiutowała jako naśladowczyni Emila Zoli. Po wyjściu jej „Małaszki" i „Kaśki Karyatydy" byliśmy przekonani, że przybył naszej literaturze naturalista, na którego daremnie czekaliśmy. Było w pierwszych powieściach pani Zapolskiej tyle „nagich, nieumytych kolan," tyle brudu fizycznego i psychologicznego, iż Zola gdyby był znał „Małaszkę," byłby ją niezawodnie przytulił do serca, jako prawowite dziecię swojego brutalnego geniuszu.

Tymczasem ukazał się bezpośrednio po Małaszkach i Kaśkach tomik szkiców i obrazków, niemających nic wspólnego z estetyką i techniką naturalizmu. Woń biła z tych drobiazgów, tak czystych, że nie wyparłby się ich najprawowierniejszy idealista. Zdawało się, że pani Zapolskiej obrzydł naturalizm, nie przynoszący zaszczytu wyobraźni niewieściej. Aż oto przekonało nas znów „Przedpiekle," że autorka nie przestała się lubować w t. zw. prawdzie życia.

Wiadomo, że pani Zapolska przebywa od lat kilku w Paryżu, zkąd nadsyła do Warszawy swoje powieści. Od chwili zamieszkania nad Sekwaną odbyła autorka „Małaszki" kilka nowych przeobrażeń. Ubiegłego roku była impresyonistką, popstrzoną od góry do dołu różnemi „plamami," obecnie zaś wystąpiła w porwanej, starganej sukni dekadentki.

Bo utworem dekadenta jest jej ostatnia powieść p. t. „We krwi", należąca do nowości bieżących.

„We krwi" ma Michał, mąż Stefanii, pijaństwo, które przekazuje synowi swojemu, Dziudkowi. Coś wichrzy „We krwi" wszystkich postaci, przesuwających się w ostatnim utworze pani Zapolskiej. Stefania wzięła po matce ochędóstwo fizyczne i moralne, Michał po nieznanych rodzicach okrutny nałóg, Rudolf odziedziczył po obłąkanym ojcu „chłodną histeryę," Jadwiga inny rodzaj chorobliwości i t. d.

Sam pomysł zaczerpnęła autorka z mądrości naturalizmu, wiadomo bowiem, że powieści Zoli p. t. „Les Rougon-Macquardt" mają dowieść nieomylności atawizmu. Prawo dziedziczności należy do głównych formułek pozytywizmu i ewolucyonizmu, od których je naturalizm artystyczny, ich wychowaniec, przejął, wcielając do swojej filozofii.

Nie ulega wątpliwości, że człowiek dziedziczy po przodkach wady i zalety; zachodzi tylko pytanie, po których antenatach? Każda jednostka jest rezultatem trzech poprzedników: ojca, matki i nieznanego X. Na to X. składa się cały szereg przodków po jednej i po drugiej stronie, męskiej i żeńskiej. Tysiące „krwi" złożyło się na dane indywiduum, zarówno bowiem Bartek z Kiszkowa, jak Habsburg lub Grimaldi, mogą się powołać na długi łańcuch starszych ogniw.

Że rodzice przekazują dzieciom niezawsze wygląd zewnętrzny i treść wewnętrzną, dowodem tego pierwsza lepsza rodzina. Spotykamy dość często w jednem gnieździe typy moralnie i fizycznie tak odmienne, tak do siebie pod każdym względem niepodobne, czasami nawet wręcz sobie wrogie, iż należałoby wątpić o ich prawowitości, gdyby atawizm działał w sposób wskazany przez ewolucyonistów czyli w sposób wprost bezpośredni. Zrozumiała to nowsza nauka, bo obmyśliły tak zwany atawizm przerywany, przeplatany czyli przeskakujący nieraz całe pokolenia. Ale które, jakie pokolenia i w jakich odstępach czasu? Bywa, że się ktoś „wda" w jakiegoś praszczura, o którym nawet tradycya rodzinna zaginęła.

Ta niepewność atawizmu, niepochwytnego dotąd dla wiedzy, wyklucza go stanowczo ze sztuki jako środek zaokrąglający pewną całość. Nie można uogólnić zasady zmiennej, niewytrzymującej krytyki surowszej; czego zaś nie można uwydatnić, tego niewolno zastosować do typów artystycznych czyli uogólnień w najszerszem rozumieniu.

Pani Zapolska, wierna zawsze, mimo różnych nowych naleciałości, mistrzowi pierwszej młodości swojej, nadała atawizmowi w „We krwi" takie samo znaczenie, jak Zola w „Rougon-Macquardtach". Jej dziedziczność działa natychmiastowo, z ojca na syna, co się, jak wiadomo, z prawdą nie zgadza. Pod tym względem byłaby naturalistką. Ale pani Zapolska oprócz pijaka Michała wprowadziła do powieści wytwornego cynika Rudolfa, który przypomina typy dekadentów francuskich.

Pod okrągłą czaszką Rudolfa, opowiada pani Zapolska, gnieździły się całe tłumy procesów najdziwaczniejszych, chorobliwych, męczących. Nie mógł podnieść szklanki wody, aby sobie w tej chwili nie przedstawił dokładnego obrazu siebie pijącego wodę. Była w tej głuchej, rozpaczliwej walce cała cicha tragedya, niepojęta, niezrozumiała dla nikogo z otaczających, ściśle we wnętrzu duszy zamknięta i tam jak drapieżny ptak się trzepocąca. Upiór dwoistości przyćmił mu krepą szyderstwa niepokalaną szatę dziewicy, ośmieszył kult i z bigota wolnomyśliciela zrobiwszy, zabrał się do szarpania i niszczenia czerwonego sztandaru, ukazując go jak płachtę na cztery wiatry rozwianą, za którą krył się egoizm, fanatyzm i chęć wyciągania kasztanów cudzemi rękoma z piekącego żaru. Rudolf szukał w spazmach zmysłowych zapomnienia. Pogrążył się cały w lubieżności, to taniej, to wyrafinowanej, lecz i tu stawała owa dwoistość wraz z nim u drzwi każdej alkowy i pod błękitnem światłem nocnej lampy, z bezmyślnością studenta medycyny lub posługacza szpitalnego, każdą ekstazę na marmur prosektoryum wyciągał, pełen pogardy dla zwierzęcości ciała i namiętnych uniesień itd.

Kto nie zna elukubracyi dekadentów francuskich, ten nie zrozumie powyższej gadaniny, zawiłej, sztucznej, jak typ rozbitka materyalizmu drugiej połowy bieżącego stulecia. Ma on być charakterystyką niedołęgi, strawionego przez ciągłą analizę życia, moralnie i fizycznie zwyrodnionego samoluba, pozującego na zblazowanego mędrca.

Razem z psychologią przejęła pani Zapolska w swojej ostatniej powieści od dekadentów porównania, przenośnie i styl dekadentów.

„Jedynie serce, pisze pani Zapolska, zaczynało teraz *wibrować jak głos harmonijki szklanej, ze snu zbudzonej*".—„Miłość to była romantyczna, *miłość okaleczonej samicy*, pragnącej jedynie ciszy gniazda". — „Krew płynęła w żyłach jej jednostajnie *wspomnieniem jasnej skóry blondyna niezmącona*, lecz natomiast dusza egzaltowała się, rozrzewniała, gorączkowała w chorobliwym nastroju". „Funkier ze swym ryjem mrówkojada, *z ciekawością starego szkieletu*, prowadził koło taneczne, jakby kometa swój ogon, w smudze *żółtawego gnijącego światła* kinkietów". — „Ona tymczasem *tonęła w letniej rozkoszy..* — W migącem świetle Stefania występowała jaskrawo oświetlona, poznaczona złoconemi iskierkami, które nadawały jej *charakter gorączkowo tajemniczy*" — Miała w sobie *mściwe przypomnienie* słodkich i pokornych istot". — „Schwyciła się moralnie za kark i wtrąciła w całą przepaść kłopotów i trosk". — Niskie fotele wyciągały swe ramiona, obciągnięte w atlas, *lśniący jak ciepło kobiece*".

Jeśli czytelnik nie zrozumiał powyższych porównań, przenośni i „głębokich" obserwacyi, niech się tem nie martwi, bo dekadenci nie są od tego, aby przemawiali językiem „motłochu", któremu trzeba wszystko na patelni wyłożyć... Wielcy to mistrzowie, wyrażający się tak mądrze, że „siebie samych zawsze rozumieją", jak zapewnia Maeterlinck, a tylko o to im idzie. Niechże się więc sami rozumieją i niech nas „hołoty pospolitej nie nudzą swoimi „symbolami".

Rozumieją się oni także po majstersku na grze kolorów i świateł, czego profanowie nie chcą uznać. Pani Zapolska nie omija żadnej sposobności, aby nie zaznaczyć jakichś cieniów, półcieniów, blasków, barw i t. d. „Świt coraz tryumfalniej przez okno się wdzierał, bieląc fałdy firanek. Jakieś szarawe światełko w tafli podłogi zabłysło — mając refleks na listwie pod ścianą biegnącej". — „Przez purpurową gazę padał ukośny promień światła, czerwieniejący lekko stan i zapadłe biodra, owinięte w jasną tkaninę sukni. Promień ten obejmował swą czerwoną falą i stopy Stefanii, i krwawił się lekko na wystającym końcu jej bucika" i t. d.

Pani Zapolska chwyta skwapliwie każdy promień, blask, odblask, każdy cień, odcień, zapisując z dokładnością naturalisty ich refleksy.

Ostatnia powieść pani Zapolskiej robi smutne wrażenie. Jest ona świadectwem rozkładu talentu, który, wpatrując się ciągle w obce wzory, stracił zupełnie samodzielność. Wszystko się w głowie autorki „We krwi" pomieszało: naturalizm, impresyonizm, dekadentyzm, metoda szkicowa i drobnostkowa, więc nic dziwnego, że wytworzyła się mikstura niemożliwa. Z chaosu obecnych eksperymentów literackich autorów francuskich chciała pani Zapolska (albo może czyniła to nieświadomie) ulepić jakąś całość, jakąś formę nową, co jej się zupełnie nie udało. Smutne dzieje Stefanii, rozbite na szereg odręcznie szkicowanych obrazów, przeplecionych scenami, malowanemi podług wskazówek naturalizmu, szeroko, drobiazgowo (sceny ataków epileptycznych Michała), smutne dzieje uczciwej żony pijaka, nie robią żadnego wrażenia, chociaż autorka nie szczędziła barw ponurych i sytuacyi groźnych.

I styl pani Zapolskiej, dawniej brutalny, ale zawsze jasny i żywy, stracił wyrazistość i siłę, stał się zawiłym, w sztucznościach lubującym się gadułą. Jego wyrazistość zatarła „głębia" porównań i przenośni dekadenckich. Są „We krwi" całe zwroty, których oprócz samej autorki, chyba nikt bez komentarza nie zrozumie.

A szkoda, bo talent prawdziwy kłębi się i kipi pod tą górą dziwactw, niestrawionych naturalizmów, symbolizmów, histerycznych wybuchów, epileptycznych wykrzywień myśli i stylu. Gdyby pani Zapolska chciała raz zrozumieć, że talent prawdziwy powinien iść za własnym instynktem, nie oglądając się na prawo i na lewo, biorąc od innych tylko to, co jego usposobieniu odpowiada, znalazłaby może drogę właściwą, której od lat tylu daremnie szuka. Pisarz polski nie może być bezmyślnym naśladowcą wszystkich eksperymentów obcych, każde bowiem społeczeństwo posiada swoją własną fizyognomię, a co zatem idzie, swoje własne potrzeby. Co przecywilizowanym dekadentom Paryża smakuje, u nas budzi albo wstręt, albo śmiech.

Teodor Jeske-Choiński.

słowa: „Żegnam cię mistrzu nasz ukochany szczerą łzą żalu i wdzięczności w imieniu tych których wychowałeś i wykształciłeś w sztuce i zapewniam Cię, że, jak Ty z wysokości błękitów, do której wznoszą się orlego lotu potęgą, sercem i duchem ogarniał ś Polskę całą, tak my dla gołębich skrzydeł naszych trzymając się bliżej ziemi ojczystej, będziemy również gorąco i wytrwale ją kochać, w miarę sił naszych piękności jej, krzywdy i niedole malować, i że na tej drodze miłości i pracy Ty zostaniesz dla nas na zawsze najwyższym wzorem i przykładem. Cześć i sława twojej pamięci“.

W imieniu polskiej młodzieży akademickiej złożył hołd zwłokom mistrz prezes krak. Czytelni akademickiej p. Marek. W gorących słowach podniósł zasługi Matejki około sztuki polskiej i około rozbudzenia patryotyzmu. „Szczęśliwy naród — zakończył — co takich mężów z pośród siebie wydaje, szczęśliwa młodzież, co na tych mężów i ich dzieła patrzy. Mistrzu! dziś cały świat artystyczny boleje nad stratą, jaką poniosła sztuka przez śmierć Twoją. Społeczeństwo jednak nasze nad trumną Twoją jękiem rozpaczy zawodzi, bo oprócz geniusza sztuki, co sławę polskiego imienia szeroko po całym świecie rozniósł, grzebie w Tobie swego największego syna i prawdziwego miłośnika tej ziemi. Młodzież polska przy Twych nieśmiertelnych szczątkach ze wszystkich dzielnic zebrana, bierze udział w tym rozpaczliwym hymnie boleści i żalu. Nieśmiertelna Ci cześć!“

W końcu w imieniu warszawskich artystów malarzy pożegnał mistrza p. Tytus Maleszewski.

Pogrzeb skończył się około godziny trzeciej po południu.

KRONIKA.

Lwów 8 listopada

Ze sfer adwokackich. Dr. Joachim Goldfarb wpisany został na listę adwokatów z siedzibą w Przemyślu.

Konkursa. Rada powiatowa w Drohobyczu rozpisała z terminem do 30 bm. konkurs na posadę inżyniera powiatowego z roczną płacą 1 000 złr., i dodatkami. — Wydział powiatowy w Sanoku ogłasza z terminem do 8go grudnia rb. konkurs na posadę lekarza okręgowego, z siedzibą w Jaśliskach, zaś Wydział Rady powiatowej w Dobromilu, z terminem do 15go grudnia r. b., ogłasza konkurs na dwie posady lekarzy okręgowych w Rybotyczach i Krościenku.

Śluby. Dnia 11 bm. o godzinie siódmej wieczorem odbędzie się w kościele OO. Bernardynów we Lwowie ślub panny Filomeny Śniadowskiej z p. Waleryanem Lubojemskim.

Przebicie tunelu. Z Mikuliczyna donoszą, że w sobotę dnia 4 b. m. o godzinie 10 z rana przebito tunel koło Jamnej, na budującej się właśnie państwowej drodze żelaznej Stanisławów-Woronienka. Tunel ma 517 metrów długości.

Zakład karny dla mężczyzn we Lwowie. Za zezwoleniem i staraniem radzcy dworu i starszego prokuratora państwa, p. Zdańskiego, a pod czujnem okiem dyrektora zakładu, p. Maćkiewicza, została tego roku zupełnie odnowioną i pomalowana wewnątrz kaplica domu karnego dla mężczyzn we Lwowie. Przy współudziale obu duszpasterzy zakładowych księży Klusika i Temnickiego odbyło się dnia 5 listopada rb. uroczyste nabożeństwo, na którem wykonał chór kleryków ruskiego seminaryum kilka pieśni. Więźniom ksiądz kanonik Lewicki w pięknem przemówieniu wyjaśnił doniosłość i znaczenie tej uroczystości. Oprócz więźniów było na całem nabożeństwie wiele osób ze świata urzędniczego. Podnieść należy, że straż więzienna również przyczyniła się dobrowolnymi datkami do przyozdobienia tej świątyni.

Polowanie. Na polowaniu, odbytem dnia 6go bm. w Kościelcu, majątku hr. Antoniego Wodzickiego, ubito w 7 strzelb 79 zajęcy, 21 bażantów, 1 słomkę i 2 kuropatwy.

Prześladowanie księży. Z polecenia rosyjskich władz administracyjnych uwolnieni zostali zupełnie od obowiązków w archidyecezyi warszawskiej księża: Wawrzyniec Dębski, administrator parafii Skuły; Aleksander Popławski, administrator parafii Powsin; Felicyan Łebkowski, wikaryusz parafii Dąbrówka; Józef Samborski, administrator parafii Brzozów. W dyecezyi lubelskiej: ks. Henryk Ciemniewski, administrator parafii Malewa-Góra. Uwolnieni od obowiązków i skazani do klasztorów zostali księża: Leonard Tomaszewski, administrator parafii Parczew, dyecezyi lubelskiej, do Maryampola na 1 rok; Aleksander Waszkiewicz, asesor konsystorza wileńskiego; Adam Piotrowski, proboszcz z Nowych dworów dyec. wileńskiej; Jan Ukreń, prob. parafii Wasiliszki, tej samej dyecezyi. Trzej ostatni internowani w Grodnie, w klasztorze pofranciszkańskim na 6 miesięcy.

„Uwolnienia“ te i więzienia dokonane zostały w ciągu miesiąca października rb. oprócz ks. Tomaszewskiego, który w Maryampolu pokutuje za Unitów od miesiąca czerwca. Liczba jak widzimy spora, chociaż niezupełna; nie mamy bowiem wiadomości ze wszystkich dyecezyi.

Z Wilna donoszą, że ks. Piotr Enryk, proboszcz w Hanuszyskach, za ochrzczenie dziecka skazany w lutym r. b. na 5 lat wygnania do gubernii wołogodzkiej, przez drogę zatrzymywany był na nocleg w więzieniach etapowych, w jednej izbie razem ze zbójcami, złodziejami itp. kalibru zbrodniarzami. Ten sposób transportowania księży nie praktykował się od czasu powstania r. 1863; wznawia go za przykładem Murawiewa jenerał Orżewskij, obecny król Litwy.

Znany siłacz p. Pytlasiński z Warszawy, który swemi produkcyami wielką sensacyę wywołał w Budapeszcie, bawi we Lwowie. Zamierza on w tych dniach zaprodukować się w sali „Sokoła“.

P. Simche Pipes, znany lichwiarz, który niedawno przez sąd lwowski skazany został na 8 miesięcy więzienia i 1000 złr. grzywny, wyjechał, jak nam donoszą, do Wiednia, aby się tam postarać o obalenie tego wyroku.

Kwestya. Otrzymujemy z prowincyi następujący list: „Do jednego z miasteczek galicyjskich zawitał na początku bm. sędzia śledczy, delegowany przez dotyczący sąd okręgowy do zbadania jakiejś sprawy. Między innymi było wskazane przesłuchać także starostę jako świadka. Otóż idzie o to, czy sędzia śledczy odpowiednio postąpił, że zawezwał starostę do swojego bióra, jakie mu sąd miejscowy na czas śledztwa odstąpił, czy też byłoby bardziej wskazane, ażeby sędzia śledczy udał się był do biura starosty i tam zbadał, co było potrzeba?“

Handel chrześcijański. Dnia 29 października poświęcono uroczyście w gminie Krolówka, w powiecie bocheńskim, nowy dom, który tamtejsze Kółko rolnicze wystawiło dla pomieszczenia sklepiku i czytelni. Stało się to dzięki czcigodnemu ks. proboszczowi Wróblowi, który ma i inne jeszcze wielkie zasługi w tej gminie, gdyż po długich staraniach zniósł w Królówce karczmę, na której miejscu stoi dziś budynek szkolny. Życzymy serdecznie powodzenia nowemu sklepikowi chrześcijańskiemu i winszujemy zacnemu kapłanowi tak znakomitych zasług.

Owacya Polaków dla ks Kneippa. Donoszą nam z Wörishofen: Ksiądz dr. Łukasz Solecki, biskup przemyski, oznajmił w dniu 25 października b. r. gościom zebranym na wykładzie ks Kneippa w Wörishofen, że ks. Kneipp w uznaniu zasług położonych około cierpiącej ludzkości, został z mianowany przez Ojca św. prałatem i tajnym szambelanem z tytułem monsignora i wezwał obecnych do wyrażenia z tego powodu swej radości, że cnota, praca bezinteresowna i cicha zasługa zostały przez głowę Kościoła w ten sposób odszczególnione. Bawiący w Wörishofen Polacy, chcąc dać wyraz swej radości z powodu tego odszczególnienia zasłużonego kapłana, zebrali się po poprzedniem porozumieniu się z bawiącym tu na kuracyi ks. biskupem Soleckim, dnia 26 zm. w liczbie 40 i to pań i panów ze wszystkich dzielnic Polski i udali się do ks. Kneippa z życzeniami pod przewodnictwem profesora politechniki lwowskiej p. Romana br. Gostkowskiego. P. Gostkowski złożył ks. Kneippowi szczere życzenia w imieniu ziomków. „Polacy, rzekł br. Gostkowski, proszą Boga, by zacnemu kapłanowi pozwolił długo jeszcze pracować dla ludzkości.“ Ks. Kneipp wzruszony do głębi odpowiedział, że Polaków zna oddawna, że ich zawsze swem sercem obejmował, nad ich losem zawsze ubolewał, a zakończył życzeniem, by dążności i pragnienia Polaków ziściły się w całej pełni. Potem cała grupa uczestników tej owacyi fotografowała się razem z ks. Kneippem i i ks. biskupem Soleckim.

Łaźnia Ducheńskiego. Otrzymaliśmy od jednego z naszych czytelników we Lwowie całą seryę zarzutów z powodu nieporządków, panujących w łaźni Duchońskiego. Jest to nie pierwszy wypadek uskarżania się na niedbałą gospodarkę w tej instytucyi, więc widocznie zarząd nie chce zadosyć uczynić potrzebom publiczności. W tym stanie rzeczy nie pozostaje nic innego, jak udać się do rady miejskiej, opiekującej się łaźnią Duchońskiego i poprosić ją o zbadanie i usunięcie wszystkich niedogodności tej łaźni. Może przecież bodaj rada miejska nakłoni zarządzcę do poprawy.

Gospodarka miejska we Lwowie. Piszą nam z miasta: „Przechodzę codziennie z rana w poprzek ulicy Sapiehy przed politechnikę. W jesiennej porze ulica ta, należąca do pierwszorzędnych artaryi komunikacyjnych Lwowa, jest jedną kałużą w całej swej długości i szerokości. Jeżeli deszcz przez kilka dni nie pada, to przejść można od biedy w poprzek tej ulicy; jeżeli jednak deszcz padał w nocy, to nazajutrz z rana przejść jest niepodobieństwem, zwłaszcza, że po 9 godzinie ukazuje się chłop lub baba z miotłą celem odgarnięcia błota. W rzeczywistości atoli, oprócz obryzgania przechodniów błotem, zamiatacze ci nie skutecznego zdziałać nie mogą, bo przejście, które powinno być brukowane i w formie wypukłej wznosić się nad poziom gościńca, nie różni się tu niczem od zwyczajnego lwowskiego, a więc wklęsłego, błotnistego i pełnego wybojów pokładu szutrowego, szczególniej zaś od czasu założenia torów tramwaju elektrycznego. Gdyby bodaj fiakry były w pobliżu. Ale najbliższa stacya fiakrów znajduje się w odległości jednego kilometra od techniki, przy zakładzie Ossolińskich.“

Nowa pozycya w budżecie gminnym. Z Łańcuta nam piszą: „Naczelnik ochotniczej straży ogniowej łańcuckiej wniósł podanie do Wydziału powiatowego w Łańcucie z prośbą, aby Rada powiatowa przeznaczyła przy układaniu budżetów gminnych na rok 1894 dla każdej gminy miejskiej i wiejskiej pewną kwotę na pożary, a to w tym celu, aby gdy wypadnie pożar w gminie, a straż z miasta przybędzie na ratunek i poniesie szkodę, było z czego szkodę tą powetować. Jeżeli zaś gmina żadnych nie poniesie strat, aby nie wolno jej było tego funduszu na co innego wydać, tylko procentować tę kwotę tak, aby za jakiś czas gmina kupiła sobie pożarną sikawkę z tych pieniędzy. Gdyby wydziały powiatowe przychyliły się do tego wniosku, po pewnym czasie każda gmina miałaby choć maleńką straż ogniową, a jak to jest zbawienną rzeczą, gdy na wypadek pożaru na wsi, jest pod ręką sikawka, którą można w zarodzie stłumić ogień i ile by można wskutek tego uniknąć większych wypadków, łatwo zrozumie każdy“.

Ze Skałatu nam piszą: W dniu 6 bm. rano po niemiłosiernem zbiciu żony i zranieniu pisarza gminnego, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru ekonom na folwarku Horodnicy, własności Michała hr. Baworowskiego, Józef Zołtyk.

Od kilku tygodni bawią u nas inżynierowie pracujący około trasy kolejowej z Borek wielkich do Grzymałowa i mimo deszczów i szarugi nieustannie są zajęci. To też robota postępuje raźno, pod kierunkiem p. Wincentego Renzenberga, który dzięki swym zdolnościom technicznym, małym stosunkowo kosztem kończy już tę trasę, a prowadząc ją nizinami ominął bardzo wiele nasypów i rozkopów, co ułatwi budowę i przyczyni się do niskich kosztów jej wykonania. Z wiosną, jak wieść niesie, przystąpią do budowy.

Na cały powiat skałacki, w którym jest 5 miasteczek, nie mieliśmy dotąd piekarni katolickiej, dopiero z dniem 4 bm. otworzył w Podwołoczyskach p. Pląskowski piekarnię i to po bardzo wielu utarczkach i staraniach. Nowy zakład nosi nazwę „piekarni krakowskiej“, gdyż właściciel jej jest Krakowianinem. Ponieważ p. Pląskowski jest całowiekiem sumiennym i inteligentnym, przeto może być pewnym, że praca jego znajdzie poparcie. Okazuje się to już teraz, bo nawet w Skałacie pieczywo jego ma odbyt.

Z Husiatyna piszą nam:

Miasto nasze, nawiedzone przed kilku miesiącami okropnym pożarem, który do szczętu zniszczył cały rynek i kilka bocznych ulic, powoli zaczyna przychodzić do siebie. Główna to zasługa komitetu ratunkowego, który się wkrótce po pożarze ukonstytuował, a na którego czele stoi właściciel Husiatyna Adam hr. Gołuchowski. Dzięki energicznej akcyi tego komitetu wpłynęły z rozmaitych stron datki dla pogorzelców w kwocie około 6000 zł., szlachta okoliczna po stronie rosyjskiej zebrała blisko 1000 zł., a znany filantrop baron Hirsch przyczynił się szczodrym darem 2000 zł. Prócz tego większa część żydów otrzymała od lwowskiego komitetu fundacyi hirschowskiej w stosunku do poniesionej straty zapomogi w wysokości od 150 do 400 zł. Według planów architekty Jana Ferrariego, Włocha, zawezwanego przez komitet ratunkowy, rynek nasz prezentować się będzie bardzo pięknie. Każdy dom położony w rynku musi być kryty dachem blaszanym i mieć podwórze zaopatrzone w zbiorniki nieczystości... przedmioty, znane mieszkańcom naszym chyba z opowiadań. Aż pożogi trzeba było, żeby obywatelom husiatyńskim — głównie chasydom — przypomnieć, a raczej ich nauczyć, że niekoniecznie żyć trzeba w otoczeniu śmieci, niechlujstwa i tym podobnych rzeczy.

Przy tej sposobności nie da się pominąć milczeniem fakt, który wymownie świadczy o fanatyzmie chasydów. Baron Hirsch chciał w Husiatynie założyć szkołę rzemieślniczą, na wzór tych, które już istnieją po wielu miastach galicyjskich, a które byt swój zawdzięczają jego hojności. Chciał tym sposobem przełamać wpływ chajderów, które może nigdzie nie kwitną w takiej liczbie, jak właśnie w naszem mieście.

Niestety, br. Hirsch napotkał tu na opór cudotwórcy rabina, który z przyczyn łatwo zrozumianych sprzeciwił się założeniu w Husiatynie takiej szkoły, gdzieby prócz talmudu także innych mądrych rzeczy uczono. Temu oporowi rabina zawdzięczyć też należy, że br. Hirsch (który przed kilkoma laty dla pogorzelców w Podhajcach darował 3000 zł.) dla husiatyńskich ofiarował tylko 2000 zł.

Filozofia pachciarza. W jednym z kalendarzy warszawskich pomieścił Klemens Junosza humoreskę pod tytułem: „Pachciarz XX-go wieku“. W humoresce tej p. Dawid Nochberger, pachciarz i bohater utworu, nie wierzy, aby w XX stuleciu było inaczej niż jest teraz. Na zapewnienia szlachcica odpowiada:

— Pan dobrodziej powiada, że będzie inszy pachciarz? Jakim sposobem może być inszy?...

— Postęp go przerobi.

— Postęp!! Ładny interes... Czy on także przerobi krowę, żeby zamiast mleka dawała pierniki albo makagigi? Niech pan dobrodziej powie, czy przerobi?

— No, może nie.

— Czy przerobi chłopa tak, żeby nie pił wódki, tylko rosę, żeby nie miał do sprzedania kartofli, do zastawienia kożuch?

— Zapewne.

— Czy nareszcie, przerobi, z wielkiem przeproszeniem pana dobrodzieja, szlachcica, żeby miał zrobić dobry rachunek, żeby nie potrzebował sprzedać zawczasu zboże, żeby nie chciał porządnie żyć, edukować swoje dzieci, dać córkom kawałek posag? Niech pan powie szczerze na sumienie

— Także to trudno...

— No, widzi pan dobrodziej... Jak się nie zmienią rękawy, poły, stan, kołnierz, to się nie zmieni kapota; mogą sobie być różne nowości, ale pachciarz XX go wieku, czy dwudziestego pierwszego wieku, będzie taki sam, jak był mój ojciec, mój dziadek, jak ja jestem, jak będzie mój wnuk i prawnuk... To jest ostatnie moje słowo. Dobranoc panu dobrodziejowi, jutro ja przyjdę po owce...

I można wierzyć Dawidowi Nochberger, przynajmniej co do ostatniej zapowiedzi, t. j. że jutro przyjdzie po ratę...

Zwyczajne walne zgromadzenie członków akad. klubu szermierzy odbędzie się w sobotę dnia 11 listopada b. r. o godz. 6 wieczorem w sali III uniwersytetu.

Zmarli. Jan Kanty Kowalikowski, emerytowany profesor seminaryum nauczycielskiego, umarł w 60 roku życia w Krakowie.

Stan powietrza. Term. 0° o godz 8 rano, w połud. 1° R Barom. 762. Idzie w górę. Śnieg z deszczem.

Tylko

— A ty co masz?.. Zapytali
Filozofa raz szyderce...
— Mniej, niż wy, to prawda — odrzekł —
Tylko rozum mam i serce.

Korespondencya Administracyi. *Wielm. Pan A. Ł. we Lwowie.* Są pewne rzeczy, o których publicznie się nie mówi, jeżeli nie chce się narazić na przykrości lub nawet processa. Ale jeżeli WPan jesteś bardzo ciekaw, to proszę się pofatygować do Redakcyi, a otrzyma Pan wyjaśnienie, którego racyonalność Pan z pewnością uzna.

Sport.

Wyścigi konne w Wiedniu.

Zjazd październikowy.

Dzień trzeci, 24 października.

Najznaczniejszym biegiem w tym dniu był bieg o nagrodę Austryi (Austria-Preis) 5000 zł. zwycięzcy, 800 zł. drugiemu, a 200 z. trzeciemu koniowi, dla koni dwuletnich i starszych, meta 1300 metrów. Z 22 koni mianowanych biegało 6. M. Blaskovicsa ogier gniady 2letni „Magus“ po „Ercildonne“ od „Mascotta“ 1, M. Szemerego ogier gniady 2letni „Lustkandl“ 2, br. Z. Uechtritza ogier kasztanowaty 5letni „Bonozur“ 3. Totalizator płacił 37 zł. za 5. Biedna na śmierć zamęczona „Panama“ brała udział w tym biegu, ale od początku do końca była ostatnią.

Odbył się też w tym dniu jesienny wojskowy bieg myśliwski (Herbst-Armee-Jagdrennen), nagroda 1500 zł. zwycięzcy, 500 zł. drugiemu koniowi, meta 4000 metrów. Wzięło w nim udział 6 koni, z których dwa upadły na przeszkodach, a między nimi por. J. hr. Lasockiego 5letnia gniada klacz „Serenity“. Jeźdźcy wyszli bez szwanku. Wygrał por. F. hr. Chorinskiego ogier gniady 4letni „Morita“ po „Vedsremo“ od „Mattiny“. Drugim był rotm. D. Hammersberga ogier gniady 5letni „Szerszö“.

Dzień czwarty, 26 października.

Odbyło się biegów sześć, pomiędzy którymi trzy znaczniejsze:

Nagroda rządowa 10.000 zł. dla trzy-, cztero- i pięcioletnich ogierów, meta 2400 metrów. Z 11 koni zapisanych stanęły do biegu 3.

S. hr. Wimpffena ogier gniady 4letni „Icicle“ po „Isonomym“ od „Golspie“ 1, A. Pechyego ogier gniady 3letni „Futar“ 2.

Bieg ten pierwszy raz tego roku wprowadzony w życie, przy teraźniejszych warunkach propozycyi właściwie chybia celu. Jest bowiem warunek, że na żądanie ministeryum rolnictwa koń zwycięski musi być sprzedany za 5000 zł. na stadnika rządowego; razem przeto zwycięzca przyniósłby właścicielowi 15.000 zł. Miał więc ten bieg koniom, które zdrowo wytrzymały całą kampanię wyścigową, dać sposobność wygrania jeszcze znaczniejszej nagrody, a zarazem rządowi umożliwić nabycie dobrego, wytrwałego, wysokiej klasy reproduktora. Ależ za 15 000 zł. koń pierwszej klasy — choćby tylko w Austro-Węgrzech — nie będzie na sprzedaż; więc zapisano do biegu miernoty, których znowu rząd nierad kupować. To też wynik tegoroczny pouczył, że trzeba propozycyę, tj. warunek tego biegu, zmienić, jeżeli ma być praktyczny; słychać, że od przyszłego roku ma być zmienioną, ale nie wiadomo jeszcze, w jakiej formie. Podobno zatrzymanym będzie warunek sprzedaży zwycięzcy, atoli cena, za jaką sprzedany być musi, ma być znacznie podwyższoną.

Nagroda Abonenta, Handicap, 2000 zł. zwycięzcy, 300 zł. drugiemu koniowi, dla koni dwuletnich, meta 1.00 metrów. Z 33 koni zapisanych biegało 9.

S. hr. Wimpffena klacz kasztanowata „Algebra“ po „Abonencie“ od „Annie“ 1, M. Keczera ogier kasztanowaty „Almos“ 2.

Nagroda Nevtelen, 4000 zł. zwycięzcy, 800 zł. drugiemu, a 200 zł. trzeciemu koniowi; bieg z płotami, dla koni trzyletnich i starszych, meta 2400 m. Z 19 koni zapisanych biegało 7.

Clairpaix'a wałach gniady 4letni „Highlander“ po „Féneku“ od „Hildy“ 1, J. Losonczy'ego klacz kasztanowata „Oliva“ 2, R. hr. Kinskiego ogier gn. 3letni „Rhadost“ 3.

* * *

W Newmarket, stolicy wyścigów w Anglii, odbył się dnia 24 z. m. jeden z największych dorocznych biegów „The Cambridgeshire Handicap“, meta 1800 metrów. Zapisanych koni było 73, biegało 22, pomiędzy nimi kilka francuskich, a mianowicie znany „Callistrate“, który niedawno wygrał w Paryżu Prix du Conseil municipal. Wszystkie konie francuskie zostały pobite; wygrała lorda Dunraven klacz gniada 4letnia „Molly Morgan“. Wygrana wynosiła 1420 fst.

Głosy publiczności.

Nędza w Mrzygłodzie. Otrzymaliśmy z tego miasteczka następującą korespondencyę:

Różnego rodzaju klęski są w tym roku udziałem biednych rolników: wylewy, cholera, wreszcie nieustanne pożary, zrujnowały wiele gmin do tego stopnia, że niedostatek graniczący z nędzą wypędza wielu z miejsc rodzinnych i z kraju, a pozostali giną z głodu. Najgorszy może i pożałowania godny stan jest w naszym zakątku, gdzie wsie i miasteczka, położone w nieurodzajnych górach, już z natury rzeczy znoszą wielkie ubóstwo. Do takich niezaprzeczenie najuboższych miejscowości należy miasteczko Mrzygłód w północnowschodniej stronie ziemi sanockiej. Położone tuż nad Sanem, narażone jest na częste wylewy, a nawet i na zupełne zalanie, które co kilka lat się powtarza, a w tym roku w znaczniejszych rozmiarach miało miejsce. Podczas słoty wszystkie prawie konicze i siana zupełnie zgniły, zboże na pniu zrosło, a potem wylew w dniu 11 sierpnia resztę bądź zabrał, bądź zamulił i szutrem tak dalece zarzucił, że dziś jeszcze wielu rolników nie jest w stanie rozeznać granic i miedzy. Krótko mówiąc, przeszło 300 morgów ziemi ornej było zupełnie zalanych, a miasteczko od dziewiątej wieczorem do czwartej rano literalnie pływało w wodzie, której stan na rynku dochodził wyżej pół metra. Wylew ten sprowadził niedostatek a w ślad za nim upadek gospodarstwa na lat kilka, bo mieszkańcy nie posiadając żadnych lub tylko bardzo małe zbiory, ani czem wyżywić się w tym roku, ani czem zasiać pola na rok przyszły nie mają; aby zaś nie zginąć z głodu, w coraz to większe długi popadać muszą.

Każde nieszczęście chodzi zwykle w parze. Podobnie i tu; co wylew oszczędził pochłonął do reszty wielu biedakom silny pożar, który wybuchł 27 zm. i ośmnastu mieszczan zupełnymi nędzarzami uczynił. Ogień, który powstał wskutek nieostrożności, podniecany silnym wichrem w kierunku północnym, tak gwałtownie się szerzył, iż wszelki ratunek był wręcz niemożliwym. Szkoda wynosi 14.480 zł., a tylko dwaj mieli ubezpieczone budynki gospodarskie na kwotę 300 zł.

Głód i nędza najokropniejsza czeka pogorzelców, a rozpacz ich jest tem większa, iż żaden z miejscowych w skutek wspomnianej powodzi jakiejkolwiek pomocy tym nieszczęśliwym dać nie może. Pierwszy z pomocą pogorzelcom pospieszył p. Reizenstein z Końskiego, który nadesłał dla każdego po pół centnara żyta, obiecując zarazem przesłać niezadługo i paszy. Nie pierwszy to dowód wysokiej dobroci i wspaniałomyślności p. Reizensteina dla Mrzygłodzian, którym niejednokrotnie w przykrych chwilach wiele wysokich łask świadczył. Także i inne okoliczne dwory spieszą z pomocą naszym biedakom, jak p. Nowacki z Krecowa, który wziął 10 sztuk bydła na przezimowanie, p. Raszowski z Łodziny i p. Nowosielecki z Witryłowa, którzy ofiarowali paszy, chociaż w skutek ostatniej powodzi sami niewiele jej mają. Ksiądz proboszcz Bigo zaopiekował się na razie nieszczęśliwymi, umieściwszy we własnej stajni 14 sztuk bydła na przezimowanie, a nadto jeździ sam po dworach i sąsiednich wioskach, prosząc o pomoc dla nich.

Korzystając z niniejszej sposobności, składamy przedewszystkiem publicznie w imieniu obdarowanych najszczersze podziękowanie tym szlachetnym osobom za wszystko, co biednym pogorzelcom uczyniły, a zarazem pozwalamy sobie odwołać się także do wspaniałomyślności i serc szlachetnych w kraju z prośbą o łaskawe datki dla naszych pogorzelców, którzy tylko tą drogą uzyskać mogą środki, ażeby nadchodzącą zimę przetrwać i cieszyć się nadzieją, że przy pomocy Boskiej i litościwych osób przecież nie zginą.

Wszelkie łaskawe datki, w jakiejkolwiek formie, przyjmuje przewielebny ks. Józef Bigo, proboszcz w Mrzygłodzie ob. k. Sanoka.

Telegramy „Przeglądu“.

Kijów 8 listopada (pr.) Rozpoczęto studya nad rozdzieleniem gubernii podolskiej na dwie części, w jednej ma Kamieniec być i nadal stolicą gubernialną, w drugiej Winnica.

Wiedeń 8 listopada. Wczoraj po południu przyjął Cesarz hr. Taaffego i konferował z nim przeszło dwie godziny. Po tej audyencyi odjechał Cesarz do Schönbrunnu.

Belgrad 8 listopada. Burmistrza miasta Niszu i kilku radnych wtrącono do więzienia z powodu rozmaitych nieprawidłowości w zarządzie majątkiem gminy.

Berlin 8 listopada. W Berlinie wybrano do sejmu pruskiego posłów ze stronnictwa wolnomyślnego, między innymi także Richtera.

Wiedeń 8 listopada. Cesarz po konferencyi z ks. Windischgraetzem przyjął wczoraj w południe ministra spraw zagranicznych hr. Kalnoky'ego. Po audyencyi u Cesarza konferował ks Windischgraetz naprzód z hr. Badenim, potem dwie godziny z Plenerem i wreszcie godzinę z członkiem Izby panów hr. Franciszkiem Falkenhaynem.

Wedle informacyi *Fremdenblattu*, czynią się dalej usilne starania, ażeby ostatecznie porozumieć się co do osób, które wejdą w skład nowego gabinetu.

W kołach dobrze poinformowanych spodziewają się, że rokowania w tym względzie zakończą się niebawem.

Budapeszt 8 listopada. Prezydent ministrów Weckerle i minister Tisza odjechali stąd wczoraj wieczorem do Wiednia.

Paryż 8 listopada. Dwudziestu pięciu posłów, należących do stronnictwa socyalistycznego, postanowiło utworzyć odrębną grupę socyalistyczną, postawić w izbie wniosek uchwalenia zupełnej amnestyi dla wszystkich uwięzionych socyalistów, oraz zainterpelować izbę w sprawie bastówki w Pas de Calais.

Berlin 8 listopada. Dotychczas wiadomy jest w 358 okręgach rezultat wyborów do sejmu pruskiego. Wybrano 122 konserwatystów, 51 wolnokonserwatywnych, 66 narodowoliberałów, 80 członków centrum, 12 należących do wolnomyślnej partyi ludowej (*Freisinnige Volkspartei*), 5 należących do zjednoczenia wolnomyślnego, (*Freisinnige vereinigung*) 2 Duńczyków, 16 Polaków, 2 należących do związku chłopskiego, 1 Welfa i 1 dzikiego.

Berlin 8 listopada. Dotąd jest znanym rezultat wyborów do sejmu pruskiego w 427 okręgach. Wybrano 149 konserwatystów, 57 wolnokonserwatywnych, 88 nacyonalliberałów, 89 członków centrum, 14 z wolnomyślnej partyi ludowej, 6 z wolnomyślnego zjednoczenia, 18 Polaków, 2 Duńczyków, 2 agrarzystów, 1 Welfa, 1 dzikiego.

Wiedeń 8 listopada. Przybyli tu prezydent gabinetu węgierskiego Weckerle, minister Tisza. W południe przyjął Cesarz Weckerlego na audyencyi.

Przybył tu także dziś rano namiestnik Czech hr. Thun i odbył konferencyę z księciem Windischgraetzem.

Madryt 8 listopada. Wczoraj podczas inauguracyjnego przedstawienia w nowym teatrze w Barcelonie, ktoś rzucił na parter dwie bomby Orsiniego. Jedna z nich wybuchła i zabiła 15 osób a wiele raniła. Policya aresztowała dwóch anarchistów podejrzanych o to, że te bomby rzucili.

Przyjechali do Lwowa

dnia 8 listopada 1893.

HOTEL ŻORZA. A. Cielecka z Hadynkowic. L. Włochowska z Wołynia. St. Irsay z Lipnik. W. Górski z Rożwienicy. R. Sąsiedzki z Podola ros. J. Rosenstock z Rusiatycz. G. Leskosching, W. Njegora i G. Jonak-Freyenwald z Wiednia. J. Mandelstum z Kijowa. J. Pineles z Tarnopola.

HOTEL FRANCUSKI. Książę A. Lubomirski z Miżyńca W. Niwicki z Bortnik. K. Moor i J. Schmahl z Wiednia. E. Herberg ze Stanisławowa. S. Frydmann z Podwołoczysk.

HOTEL EUROPEJSKI. Książę Poniński z Włoch F. Grabowska z Obertyna. B. Pollak z Wiednia. W. Barącz ze Lwowa. Dr. W. Czajkowski z Przemyśla. Dr. A. Langner z Tarnopola. Dr. J. Landesberg z Tarnopola W. Jaworski z Przemyśla. P. Prokopowicz ze Skwarzawy. Baron M. Czechowicz z Kańczugi. J. Kopczyński z Tarnopola. T. Gotleb z Liwcza. W. Wasilewski z Siemieszowej. Dr. M. Rosenstock ze Skałatu. A. Feil i dr. A. Kipper z Radowca T. Strzelecki z Woli. F. Kuhn z Grotau. M. Kamiński z Sieniawy.

HOTEL VICTORIA. J. Fraenkel z Koniuszkowa. J. Bastgen ze Stryja. Franc. Treu z Wiednia. H. Wallace z Wiednia. M. Sacher z Czerniowiec.

HOTEL IMPERIAL. Hr. R. Drohojowski z Krukienic. Hr. B. Lasocki z Krakowa. Baron M. Schnechen z Wiednia. A. Misiągiewicz z Królestwa Polskiego. H. Bauminger z Krakowa. B. Gurski z Dąbrowej. J. Biechońska z Żarnowca. K. Gołębski z Czeremchowa. A. Gorayski z Umieszcza. Dr Gaster z Bukaresztu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona na siebie za nią żadnej odpowiedzialności.

Lwów dnia 8 listopada. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 215·50 do 218·50. Kolej Lwow.-Czern. Jasska po 200 zł. w. a. 255·50 do 258·50. Banku hipotecznego po 200 zł. w. a, 360·— do 370·—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. gal. 5% losow. w 40 lat, 100·70 do 101·40, 5% z 10% prem. 110·— do 110·70, 4½% los. w 50 lat. 99·80 do 100·50. Banku krajowego 4½% los. w 51 lat. 100·50 do 101.—. Banku krajowego 4% los. w 57 lat. 97·— do 97.70. Tow. kredyt gal. ziemsk. 4% (I. emisya) 98·— do 98·70. 4% los. w 41½ lat. 98.— do 98·70, 4% los. w 56 latach 98·— do 98·70. 4½% los. w 52 lat. 99·80 do 100.50.

Obligi za 100 zł.: Galic. funduszu propinacyjnego 4% 96·— do 96·70. Bukow. funduszu propinacyjnego 5% 102·25 do —·—. Kom. banku krajowego 5% w. a. II. em. 102·25 do —·—, Pożyczki krajowej 6% 105·— do —·— 4½% 100·— do 100·70 4% z roku 1891 95·90 do 96·60 4% z roku 1893 95·90 do 96·60.

Monety. Dukat cesarski 6·— do 6·10· Napoleon dor 10·05 do 10·15. Półimperyał 10·30 do —.—. Rubel rosyjski srebrny czy papierowy 1.33·— do 1.35·—. 100 marek niemieckich 61·30 do 63·—.

Wiedeń dnia 8 listop. (godz. 12 w połudn.) Kredyty 332.80, kred. węgierskie 408.10, Anglob. 149.25, Uniony 248.25, Bankvereiny 121.15, Länderbanki 245.50, Akcye tytoniowe 196.—, Staatsbahny 301.75, Lombardy 102.75, Elbethale 237.50, Renta papierowa 96.70, Renta węg. 4% kor. 93.30, Renta węg. złota 4% 115.10, Alpiny 50.40, Marki 62.60, Losy tur. 48.70

13)

BLADA DYANA.

POWIEŚĆ

przez

JULJUSZA MARY.

(Ciąg dalszy).

— Czy nie zauważyłeś zniknięcia tej broni?

— Mój pan trzymał ją zawsze w szufladce swego biurka, od której klucz nosił przy sobie. Nie wieszał jej na ścianie, gdyż bał się pobudzać ciekawości Antonia, który wszystko musi poruszyć i zepsuć.

— Dobrze, możesz odejść.

I p. Montaiglon znowu błąkał się w domysłach i niepewności.

Tegoż dnia wezwał do siebie Bernarda.

Więzień badania te i konfrontacye znosił z rezygnacyą. Oczekiwał na pytania z głową pochyloną, ale nie dawał sędziemu zapanować nad sobą. Trzymał się zawsze na stopie obronnej, prawie nieprzyjacielskiej, uważny na najbagatelniejsze na pozór zapytanie i odpowiadający po namyśle, gdy był pewnym, że nie ma w niem pułapki.

— Powiedziałeś mi pan przed kilkoma dniami, że nie przypominasz sobie, co uczyniłeś z rewolwerem, z którego zabiłeś p. d'Heribaud.

— Byłem tak wzruszony i tak przerażony mą zbrodnią...

— Powiedziałeś mi pan to samo i wtedy i nie chciałeś wyznać, gdzie kupiłeś tę broń.

— I dziś nie powiem tego. Odmowa moja jest logiczną dla tego, że nie mogę powiedzieć kim jestem, skąd przybyłem i dla czego zabiłem go.

— Oświadczyłeś pan jednak, że nie kupiłeś tego rewolweru wtedy, gdy przyszła ci myśl spełnienia zbrodni i że posiadałeś go oddawna.

— Powiedziałem to rzeczywiście — odrzekł więzień głosem niepewnym.

— Czy potwierdzasz pan to zeznanie?

— Potwierdzam — odrzekł Bernard zawahawszy się na sekundę.

— Dobrze.

IX.

P. Montaiglon zrozpaczony.

P. Montaiglon odkrył rewolwer i pokazał go Bernardowi, ale do rąk mu go nie dał, ponieważ był nabity, bał się więc, by więzień korzystając ze sposobności, nie odebrał sobie życia. Pokazując go jednak, odwrócił go tak, by więzień nie dostrzegł cyfry.

— Poznajesz go pan?

— Zdaje mi się, że poznaję.

— Więc z niego strzeliłeś pan?

— Z niego. Gdzie pan go znalazł?

— W rzece Lot.

— Tak... przypominam sobie...

— Rewolwer ten — odezwał się sędzia ironicznie — nie był kupiony przez pana. Zapewne podarowano go panu?

— Nie rozumiem pana sędziego.

— Bo znajduje się na nim cyfra ofiary pańskiej, J. H.

Bernard zadrżał i zmięszał się. Po chwili przecież oprzytomniał i odrzekł:

— Cyfra ta może być również moją.

— Być może, ale służący p. d'Héribaud zeznał, że rewolwer ten był własnością jego pana. A nie może być pod tym względem wątpliwości, gdyż dał dowody.

— Rzeczywiście, omyliłem się. Rewolwer ten podobny do mojego.

— Kłamiesz pan!

Na twarzy Bernarda wystąpił rumieniec.

— Czy nie było pomiędzy wami pojedynku bez świadków? Musieliście się znać zapewne od dawna. Dzieliła was nienawiść, nienawiść głęboka, jakiej lata nie łagodzą... Z jakiego powodu nienawidziliście się? Ja, który poznałem jeden zakątek serca pańskiego, domyślam się powodu. Pani d'Hériband była tak piękną, iż musiałeś pan ją kochać...

— Panie, proszę pana... — błagał Bernard.

— Przypuszczeniem tem nie znieważam pamięci p. d'Hériband. Daję panu słowo, że nigdy nie przypuszczałem, by ona była winną.

W oczach Bernarda zaświecił promień radości.

— Dziękuję panu, dziękuję — rzekł — że pan nie wierzy w to...

— Ale pan mogłeś ją kochać, choć ona pana nie kochała... Stąd ta nienawiść pańska do jej męża, stąd zapewne niespodziewanie wynikły spór i pojedynek w chwili uniesienia, w której nie zastanawiamy się nad ważnością czynu.. stąd nakoniec zabójstwo... Wystrzeliłeś pan, i p. d'Hériband, czego dowodem jego rewolwer, ale pan zostałeś nietkniętym... a Jerzy padł martwym. — Wtedy, przerażony, zatarłeś pan ślady, mogące odkryć twą osobistość... rzuciłeś do wody oba rewolwery... i za nadejściem nocy przybyłeś oddać się w ręce sprawiedliwości... Czyż nie tak było?

— Być może — odrzekł Bernard zgnębiony.

Ale sędzia napróżno nakłaniał go do wyznania.

Jak bywa zwykle, gdy sąd ogłosi rysopis i zwróci się o pomoc do publiczności, tak i p. Montaiglon otrzymał wiele listów od różnych osób, którym się zdawało, że poznają tajemniczego więźnia. Większość tych listów, jako nie dających żadnych wskazówek, rzucił do kosza, ale niektóre zachował i wezwał osoby, które je pisały. Nie rachował przecież na to i miał słuszność.

Tegoż dnia dokonał kilkunastu konfrontacyi, z których okazało się przecież, że nikt nie znał Bernarda. Wezwani wprowadzeni byli w błąd podobieństwem i wobec więźnia przyznali się do pomyłki.

Z tej więc strony nie trysnęło żadne światło.

Z tem wszystkiem dwóch ludzi w tym czasie zostało aresztowanych. W oberzy na przedmieściu Mende dwóch włóczęgów, wałęsających się za żebraniną, wygadało się z jakiemś słowem nieostrożnem.

Z drugiej strony rysopis tych włóczęgów zgadzał się z rysopisem przysłanym sędziemu śledczemu przez pewnego rolnika z okolicy.

Oto co się stało:

Dzienniki opowiedziały, że w lesie, w którym zbrodnia popełnioną została, tuż obok trupa znaleziono kawałek chleba z wydętą skórką, jak to się zdarza, gdy na spodzie pieca brak kawałka cegły. Rolnik ów przeczytawszy to, doniósł, że w jego piecu właśnie brakowało kawałka cegły i że przed kilkoma dniami pół bochenka chleba, upieczonego w tym piecu, dał dwom jakimś włóczęgom. Otóż w oberży żebracy ci wygadali się, że nad brzegiem rzeki widzieli trupa. Gdyby byli chcieli, ogołociliby go z rzeczy, gdyż miał przy sobie zegarek i portmonetkę, ale nie uczynili tego, gdyż byli ludźmi uczciwymi. Nie wszyscy żebracy są złodziejami. Co do nich okazało się to prawdą. Przeszłość ich była czystą, zarzucano im tylko pijaństwo i nieuleczalne lenistwo. Zapytani przez p. Montaiglon, odpowiedzieli:

— Prawda, widzieliśmy człowieka, zabitego strzałem rewolwerowym w okolicy serca. Leżał na poprzek dróżki, a my złożyliśmy go pod skałą. Był wtedy jeszcze ciepłym. Ale gdybyśmy byli zabójcami, to byśmy się nie chwalili w oberży. Przytem nie zabijalibyśmy dla zabawki, a ograbilibyśmy go. Jesteśmy próżniakami i pijakami, być może, ale nie zbrodniarzami.

P. Montaiglon trzymał ich pod kluczem przez parę tygodni i wiele razy stawiał na oczy Bernardowi. Ale za każdym razem odpowiadali:

— Napróżno przyglądamy mu się — nie znamy tego ptaszka. Ale jeżeli na przyszłość wpadnie nam w oczy kiedy, poznamy go napewno.

Sędzia uwolnił ich i tajemnica nadal pozostała nierozwikłaną.

A jednak w tym właśnie czasie w samym gabinecie sędziego za zła scena, w wysokim stopniu tragiczna, a której p. Montaiglon nawet się nie domyślał.

X.

Matka.

Pewnego dnia, pomiędzy wieloma nadesłanymi listami, p. Montaiglon otrzymał pismo następujące:

„Panie! Mieszkam w głębi Korsyki, w górach i rzadką miewam sposobność odwiedzenia miasta. Wczoraj jednak zmuszona udać się do Bastia, gdym przechodziła ulicą, zastanowił mnie portret pomieszczony w dzienniku illustrowanym. Kupiłam ten numer. Po odczytaniu artykułu dowiedziałam się, że chodzi o zabójstwo i że człowiek, którego portret pomieszczono, usiłuje ukryć swe nazwisko dla uniknięcia odpowiedzialności. Znam tego człowieka i mogę wyjawić jego nazwisko. Jakkolwiek jestem ubogą, użyję wszystkich moich oszczędności dla odbycia podróży. Chcę zobaczyć pańskiego więźnia dla przekonania się, czy się nie mylę.

Cecylia Bartoli."

P. Montaiglon odłożył ten list i nie myślał o nim więcej. Przybycie z Korsyki dla konfrontacyi wydało mu się rzeczą niemożliwą, z drugiej strony, tyle już razy zawiódł się na tych konfrontacyach, że nie zwracał już uwagi na przysyłane mu pocztą objaśnienia, najczęściej fantastyczne.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny redaktor: Ludwik Maciejowski. — Papier z fabryki Braci Fijałkowskich w Białej. — Z drukarni nar. W. Manieckiego — Zarządca W. Hodak.